PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ



ROK II

MŁODY NURT

NR 7-8

ROK II Nr 7-8 (DWUTYGODNIK) 15 XII 1938





Gdy wyjrzymy przez zapotniałe szyby na popielatą ulicę — śnieżne komunikaty wydają się wymysłem bajkopisarza.

A jednak istnieje inny świat, świat zaklęty przez dobrotliwą wróżkę, gdzie niema szarości dnia powszedniego — świat ludzi radosnych i uśmiechniętych do białej wizji — świat zimy...

Dziwaczny kwiat na zamarzłej szybie wykwita, puszysty śnieg skrzypi pod stopą, srebrzysty tuman wzbija się z pod ostrego brzega narty.

Jakże małe wydaje się codzienne zmartwienie przeciętnego zjadacza chleba, gdy znajdzie się w obliczu bezmiernej pustyni, ścielącej się od horyzontu białym całunem —

— jakże mocnym jest poczucie ujarzmienia przestrzeni szalonym pędem pary drewnianych desek. Mieszczuchy zakutani w ciepłe odzienie, tulący się do rozgrzanego pieca, skrzywieni i drżący w miarę opadania rtęci — wyjdźcie naprzeciw waszej wielkiej przyjaciółki, szukajcie jej na stromych górskich zboczach —

bo nie w krętych zaułkach waszego miasta, lecz na dalekich turniach Tatr, Czarnohory, czy Beskidu poznacie smak prawdziwej zimy!

MŁODY NURT
PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ
ROK II. Nr 7-8 (DWUTYGODNIK) 15 XII 1938



GDY ŚWIĘTA NADCHODZĄ....





ŁAMIEMY SIĘ

z naszymi Czytelnikami symbolicznym opłatkiem na znak nowozaciągniętych długów przyjaźni.

Z tej okazji życzymy im prawdziwie dobrego, beztroskiego i radosnego spędzenia ŚWIĄT.



Te pierwsze życzenia „MŁODY NURT" skierowuje do wszystkich swoich obecnych Czytelników, Koleżanek i Kolegów, którzy mają być piórami młodego pokolenia. Wierzymy, że za rok do zwiększonej dziesięciokrotnie kadry będziemy mogli słać nasze najszczersze życzenia. Zależeć to będzie jednak od nas, którzy wierzymy, że wytrwamy i od Was Kochani Czytelnicy, którzy wesprzecie nasze wysiłki.

NOWY ROK rozpocznijmy więc pod nowym hasłem: walki o prawa naszego pisma a przezeń całego młodego pokolenia.

„Piłowaliśmy" przez tych kilka pierwszych numerów ciężkie „historie" i tematy— (nie wymawiamy się od tego i na przyszłość). — Teraz na Gwiazdkę dajemy dużo „powietrza", opowieści, nowel, a to gwoli swawoli i odprężenia dla spracowanego przed półroczem mózgu.

Wszystkim Koleżankom i Kolegom przesyłającym do Redakcji życzenia świąteczne składamy szczere, koleżeńskie podziękowania.

REDAKCJA „MŁODEGO NURTU"

CHOINKA!

Już za dwa tygodnie! Jeszcze tylko tydzień, cztery dni, jutro! Coraz mocniej biją nasze serca. Daleko jeszcze do Gwiazdki, a już ma się przewidywania tych cudów, które ona przyniesie. Piękne, przecudne sny o Gwiazdce dają nam moc radości. W ślicznych wystrojonych wystawach sklepowych zielenią się choinki, posypane srebrnymi nitkami, imitującymi śnieg.

* * *

Nadchodzi wreszcie dzień i godzina, gdy kończą się oczekiwania. Dzień 24 grudnia, godzina wzejścia pierwszej gwiazdy. Powoli zamiera ruch na ulicach. Przygasają światła w sklepach... Czas siadać do stołu. Do wigilijnego stołu, nakrytego białym obrusem, zastawionego tradycyjnymi potrawami.

* * *

A gdy skończy się tradycyjna świąteczna kolacja, we wszystkich domach zapalają się setki kolorowych lampek elektrycznych na wielkich, pod sufit sięgających choinach. Rozświetlają się blaskiem trzech, czterech świeczek na małych ledwie widocznych choineczkach. Różne są bożenarodzeniowe drzewka. Są wielkie, bogate, wystrojone w ozdoby, są też małe ozdobione w tradycyjne polskie wycinki. Jednakową radość sprawia wielkie wystrojone drzewo i mała gałązka.

* * *

Choinka jest nierozerwalnie związana nie tylko z dziecinnymi wspomnieniami, właściwie towarzyszynam przez całe życie. Gdy byliśmy dziećmi, choinka przybrana płonącymi świeczkami, była największą atrakcją Gwiazdki. Drzewko, które przywędrowało z lasu, stało się najserdeczniejszym przyjacielem na przeciąg kilkunastu dni. Zjawienie się choinki to początek Świąt; a smutny to był dzień, gdy osypująca się i pozbawiona błyskotek choinka zmykała z domu. Choinka powracała przez długie lata, myśmy już przestali być dziećmi a ona jeszcze się zjawia, bo ona nam daje złudzenie, że razem z nią powraca beztroskie dzieciństwo. Może przyjdzie czas, że choinki się nie będzie stroić dla siebie, ale dla córek i synów. Radość jednak będzie nie mniejsza, gdy po kilkunastu latach dla trzeciej generacji wnuków, dziadek i babcia w cieniu choinki będą opowiadali bajki...

BRONISŁAW KRUPKA
(Nowy - Bytom)



W dzień Bożego narodzenia

W dzień Bożego narodzenia
Radość wszystkiego stworzenia:
Ptaszki do szopy zlatują
Jezusowi przyśpiewują,
Przyśpiewują.

Słowik zaczyna dyszkantem,
Szczygieł mu dobiera altem,
Szpak tenorem krzyknie czasem,
A gołąbek gruchnie basem,
Gruchnie basem.

Wróbel ptaszek nieboraczek,
Uziąbłszy, śpiewa jak żaczek
Dziw, dziw, dziw, dziw nad dziwy,
Narodził się Bóg prawdziwy,
Bóg prawdziwy.

A mazurek z swoim synem,
Tak świergocze za kominem:
Cierp, cierp, cierp, cierp miły Panie,
Póki ten mróz nie ustanie,
Nie ustanie.

BOLESŁAW ŁASZEWSKI

POWTARZAM: JESZCZE MICKIEWICZ

(W 140 rocznicę urodzin widziany innym okiem).



„Powołaniem naszym jest teraz badać i odgadywać przyszłość".

Wierzę Waszym głośnym protestom: „po uszy mamy w szkole Mickiewicza — a próbujcie o nim mówić jeszcze na łamach pisma! — Dość— na Boga! nie męczcie nas — i tak poetami wszyscy nie zostaniemy."

Wierzę Wam, niemniej jednak zachęcam do przeczytania tych paru rzuconych tu uwag. Zachęcam wszystkich, — tym razem prócz może samych poetów.

I dobrze i źle się składa, że to o czym chcę mówić jest związane z rocznicą, z pewnym obchodem, tradycyjnym, świętem, świętem na codzień. Niby dobrze jest, bo — jak się to mówi — jest okazja. Źle natomiast jest poprostu dlatego, że to co się mówi „z okazji", przy obchodach i rocznicach jest pewną koniecznością, obowiązkiem obywatelskim i formą „ugrzecznioną". Tak musi być, tak każe tradycja i jej święta pamięć. Najbardziej podniosłe dni przechodzą potem w szarą codzienność. Nie ma tam problemów, a są kanony, które się zna na pamięć i które się głośno, krzykliwie deklamuje. Piękna forma przytłacza wielką treść i wartości, które wówczas tylko coś znaczą, gdy żyją. Z sylwetek najpiękniejszych ludzi w ten sposób robi się „cudowne", podziwiane przez ogół modele, ustawione w gablotkach: „dla wielkich". Wie się o nich dużo i nic zarazem.

Czas już wreszcie zerwać z tym przekonaniem i czas najwyższy zacząć oceniać wartości według ich życia" według tego, co niosą w swych zasadach i z czego my mamy obowiązek korzystać, do czego my musimy się stosować.

I jeżeli dziś podejmuję te uwagi na temat Mickiewicza, to nie czynię tego tylko ze względu na to, że wypada, że pismo młodzieżowe, szkolne, nie może pominąć milczeniem rocznicy urodzin wielkiego, „kanonizowanego świętego"

Takim poznajcie go i wy w szkole... Wiecie że był wielkim narodowym poetą, twórcą podniosłej pracy, Dziadów, Konrada Wallenroda, Pana Tadeusza..., wierszy i poematów, które rozniosły głośno imię Polaka i Polski. Odeń uczycie się poznawać wartości uczuć, przeżeń poznajecie romantyzm jako prąd oderwany od rzeczywistości, wnoszący w życie pierwiastki irracjonalne, nieziemskie i (o zgrozo!) nietwórcze!

Potem niby wyrosło się z tego sentymentalizmu, gardzi się tymi złudami pozostawiając je chyba(!) koleżankom.

Znacie Mickiewicza tylko jako wielkiego romantyka - poetę. W szkole niewiele, albo nic się nie mówi o człowieku.

Okres ponad 20 lat, od stworzenia „Pana Tadeusza" aż po śmierć w Konstantynopolu pomija się zdawkowymi uwagami albo milczeniem, bo to czasy rzekomego upadku, „obłędu" nawet — jak chcą niektórzy biografowie. Mało mówimy o człowieku. Poezja, glorią swej wielkości przytłumiała najpiękniejsze wartości człowieka, którego prawdy żywe, głoszone w poezji, w życiu codziennym znachodziły głębokie swe potwierdzenie.

Wielkość Mickiewicza wyszła daleko poza poezję. Ta bowiem nie była celem sama w sobie, a środkiem do urzeczywistnienia idei, prawd żywych, realnych i konkretnych. Poezja pełniąc tak szczytną misję przez swą treść, była równocześnie artystyczna. A artyzm ten przerósł w naszych oczach wielki cel. Pora już najwyższa sprostować te ścieżki.

Mickiewicz pełnym był człowiekiem nie tylko wówczas kiedy tworzył poezję.

Wielkości jego nie zaprzeczylibyśmy nawet wówczas, gdyby w ogóle nie zostawił spuścizny literackiej.

Tęsknotą jego życia zarówno wówczas kiedy pisał, jak i później, był czyn.

W pierwszym okresie przed powstaniem listopadowym Mickiewicz uderza w czynu stal, nawołuje cały naród do jego podniesienia, w najgłębszych pokładach duszy czuje jego potrzebę. Sam jednak nie jest jeszcze zdolny do ujęcia rękojeści miecza, nie bierze udziału w tym samym powstaniu listopadowym, którego przecież był niejako „ojcem chrzestnym". W najgłębszych" pokładach duszy stacza walkę ze sobą, zstępuje z wysokiego Olimpu, zwalcza swój indywidualizm, pokonuje siebie jako już uznaną wielkość i zniża się do roli szarego człowieka, pielgrzyma, który zakasawszy rękawy idzie do ludu, aby z nim podjąć wspólny trud.

Ciągła walka czyni go bliskim nas wszystkich. Porzuca nawet poezję, aby utrzymać się na swej drodze, aby zdobyć zdolność do działania.

I nie na próżno: Widzimy go potem przy konkretnej pracy organizatorskiej, na polach walki, we Włoszech i w Konstantynopolu.

Wypełnione życie ciągłą walką o nowe wartości, o nowego człowieka — Polaka, o inną, lepszą rzeczywistość społeczną i polityczną Polski i wszystkich społeczeństw — jest drogowskazem, który przeczy kierunkowi innych, ukazujących Mickiewicza tylko jako poetę, a romantyzm jako bezpłodną doktrynę, obracającą się w sferach iluzji.

Mickiewicz — to żywa prawda, to człowiek walki i geniusz zarazem, któremu nie wystarczają tylko wewnętrzne zadatki wielkości, a który w wielkim utrudzeniu zdobywa nowe. Zbliża słowo do czynu, a tym chce przetworzyć świat na lepszy. Nienawidzi teoretycznych rozważań, dyplomatyzowań, dociekań filozoficznych i wszystkich „ludzi rozumnych, kierujących się tylko matematyką i formalnymi obliczeniami. Wybuch wojny światowej i działanie Józefa Piłsudskiego dowiodły niezbicie realnej koncepcji czynu Mickiewicza. Jego „szaleństwo" działania było oparte o bogate złoża duszy, kierowanej instynktem potrzeby i myślą o realizacji prawd wieczystych.



Mickiewicz, jak Piłsudski, wielkim był inicjatorem. Plany jego działania nosiły wszystkie cechy realności.

Winy za ich niezniszczenie nie ponosi on sam, a współczesne jemu pokolenie, które nie poparło czynem. Wiecznie młody w swych poczynaniach, myślach i działaniu, nie schodzi z pola walki nawet w chwili gdy czas siwizną przyprószył włosy, gdy ciało zmogła choroba i gdy spokojny wśród dzieci uśmiechał się żywot.

W szczupłych ramach artykułu trudno zamknąć cały ogrom problemów, związanych z Mickiewiczem — człowiekiem i działaczem, trudno dowodzić prawdziwości założeń. Rzucony glossy miały tylko upomnieć się o powrót do Mickiewicza, którego żywot jest „wieczny". Nie tylko skokami rocznic mamy wracać do niego. Rzeczywistość polska zwracać się doń musi po nowe wskazanie przeszłości, po nowe idee, prawdy żywe. A te zawarł nie tylko w znanych ogółowi utworach. Prawdziwości ich dowodził w artykułach Pielgrzyma Polskiego, w Wykładach francuskich, w Trybunie Ludów, przede wszystkim jednak w czynie, w jego koncepcji.

Trzeba nam więc wyjąć z gablotki "świętego" i świętość jego przymierzyć do życia, złożyć jej hołd i czcić za słowa i czyny, za wielkie „ja", w którym każdy z nas małych znaleźć musi cząstkę swej osobowości, aby kształtować ją na właściwą człowiekowi miarę, aby uczynić ją użyteczną w społeczeństwie. Do Mickiewicza uciekać się nam trzeba poza kolejką wszelkich rocznic i dniami uroczystymi. W dniach zasnutych mgłą codzienności w nim znajdziemy prawdę, która chroni przed zwątpieniem i podsyca wiarę w człowieku. Trzeba tylko chcieć wyjść poza artyzm poezji i odszukać pełną osobowość twórcy, którego życie jest „wieczne" w narodzie polskim.



Dom w Konstantynopolu, w którym mieszkał A. Mickiewicz

SAMOKSZTAŁCENIE JAKO KONIECZNOŚĆ SPOŁECZNA

Wytwarzanie siły i mocy społeczeństwa może się dokonywać na różnych drogach i różnymi metodami. Niewątpliwie metodą najszybszą, pozwalającą najprędzej wytworzyć wysoki potencjał zwartości, prężności i mocy narodowej jest metoda dyscypliny, metoda zakazów i nakazów, metoda rów nania indywidualności. Tego rodzaju ścieśnianie ludzi do schematu; koszarowanie życia, niesie jednak ze sobą, poza innymi, groźne niebezpieczeństwo obniżenia poziomu kulturalnego, dewastacji wartości przede wszystkim naukowych, a następnie społecznych, estetycznych itd. Zostawia się bowiem i pielęgnuje tylko te wartości, które wprząc można w służbę panujących aktualnie poglądów — reszta bez względu na istotną swą wartość jest deprecjonowana. Jaskrawe przykłady powyższego zjawiska znaleźć można w życiu państw totalistycznych, które bezwzględnie niszczą wszystko, co nie zgadza się z panującą ideologią.

Obok drogi dyscyplinowania społeczeństwa, istnieje inna metoda wytwarzania mocy społecznej. Metodą tą jest wychowanie członków społeczeństwa na czynnych uczestników wspólnoty narodowej i państwowej. W naszych warunkach konieczność wykształcenia nowego typu Polaka jest koniecznością palącą. Usunąć należy cały szereg wad narodowych takich jak brak przedsiębiorczości i związana z tym bierność, skłonność do lenistwa i nieusprawiedliwionego optymizmu („jakoś to będzie"), skłonność do improwizacji, która nie zawsze się udaje, zamiast zorganizowanej, wytrwałej, celowej pracy.

Przebudowa psychiki społeczeństwa i stąd płynące lepsze przygotowanie do życia gospodarczego, społecznego, państwowego, występuje obecnie jako pewna konieczność dziejowa. Jeżeli naprawdę „skazani jesteśmy na wielkość" i naprawdę zdajemy sobie sprawę z powagi tych słów, to musimy przygotować się do swej wielkości i to przede wszystkim powinniśmy przygotować się **my — młode pokolenie**, aby nie tylko odziedziczyć ciężar odpowiedzialności i czynu pokolenia legionowego, ale dalej prowadzić państwo do rozkwitu...

I tutaj właśnie na nas, na mło-

ANIELA STAPIŃSKA

ZABOBONY GÓRALSKIE — WE WILIJOM BOZEGO NARODZENIO

Haw u nos na Podhalu som jest takie rózne zobobony i gusła, ftóre ludzie odprawiajom we wilijom do rania po to, coby pote cały rok mieć bars scęśliwy.

We wilijom zaraz raniusieńko (hale nie tak raniusieńko jako się to u Wos w mieście nazywo, raniusieńko a u nas dobre połednie), chłopi z pościele wskakujom do portek, moskolicek z owsianej mąki pod pazuche i chybaj do sopy po konicki, a pote w las po drzewo. Bez cały dzień musom mrazować coby się ze zodnom babom nie stretnąć nika. Baba we wilije cy swoją cy cudzo, chłopu scęścio nie niesie to tyz nieg fras weźnie babe uwidzieć przed pierszom gwiozdeckom na niebie wilijnom. Nieścęści się chłopu w jego jenteresak calucki Bozy rok. Nasi chłopi uciekajom w las, (tego jeno nie wiem kaby tyz w mieście panowie uciekli przed panickami, skoro lasu nimajom), a w lesie uwijajom się przy robocie z drzewem.

Fto tego dnia nie jest rący przy robocie tego pote cały rok robota goni. Wiedzom o tym dobrze i chłopi i baby. Baby w domu telo już mojom uwijacke przy gorkak warzęcy wiecerzom co lud. Od rania do nocy wymyślajom: to krupy, to kapuste, to groch, to śliwki susone, a jedna do drugiej goni coby jesce co wymyśleć i coby ukraść. Tako skradziono rzecz przyniesie scęście do pomnozanio majątku, z jednej robiom sie dwie rzecy. Tak wej baby przy garkak, a chłopi w lesie sie uwijajom o jak jino gwiozdecka na niebie sie zablinkoli bierom sie wszycka do wiecerze pańskiej.

Na stolicku kładom miske a matka rachuje łyzki lo domowników i jakby beło nie do pary szukajom we wsi cłeka hudobnego, ftóry nimo z kim zasiadać do wiecerze!

Nie wolno sie nijakiej strawy tknąć pokiela do izby nie wlezie dziadek ze snopkiem siana, który takom ślicnom piesnickę opowiado:

Na dolinie stoi kamień
Som Poniezus siedzi na nim
Przenojświętso Panienecka
Kładzie kwiotki do wionecka
Trzej królowie śrybrze złocie
Przyzierajom sie robocie.
Niegze u nas ludzie prości
Tako radość tyz zagości.

Nie wolno sie dziadkowi zająkać przy tej pieśnice, boby pote syckie dzieci w rodzie śpetnie godały. Dziadek sionko podłozy pod miske w kącie troche pestawi, a z kiesenie nabiere owsa i po całej chałupie ozruci. Sycka sie ciesom ze bedom mieć telo syckiego bez cały rok, jako tego owsu i siana jest w izbie. Matka podaje ojcu opłatki i sycka sie sceśliwie łomiom tym opłatkiem i zycom se duzo wselinijakiego scęścio i zdrowio i miełości tyz. Zacyna sie wiecerzo pańsko. Trza straśnie uwazować coby nie jeść naprzódzi kapusty, ba koniecznie krupy a naostatku śliwki słodkie, a to poto coby nie beło pomiesanio w rodzinie, coby się chłop z babom nie wadził, a jak sie powadzi, coby się to serdecnie skończyło. Po wiecerzy hybaj sycka młodzież do pola i kazdy tu cosi mo do roboty. Chłopcy warcniko goniom ku piersemu płotowi i łapiom zerdke i tak pote jest, Jak zerdka w skórze, baba bedzie bogocka, jak bez skóry

dzież szkół średnich spada ogromne zadanie, gdyż my kiedyś będziemy rozsadnikiem idei i poglądów jako dziedziczący najwięcej z kultury społecznej.

Winniśmy więc sprecyzować sobie ideał Nowego Polaka - obywatela. Polaka tego, moim zdaniem, charakteryzować powinny przede wszystkim te cnoty żołnierskie, jakich wymaga życie zbiorowe, a więc karność (może najtrudniejsze to dla naszej słowiańskiej natury) zdolność podporządkowania się, umiejętność efektownego działania w zespole w łączności z grupą społeczną. Chacharakteryzować go dalej powinny takie cechy jak: najdalej idący aktywizm i ekspansywność wobec wszystkich zdarzeń, przejawów i procesów, jakie zachodzą w otoczeniu, śmiała decyzja i doprowadzenie do końcowego wyniku każdej rozpoczętej pracy. Obok czujności i wrażliwości na sprawy, obchodzące całe społeczeństwo, najsilniej powinien mieć każdy Polak wyrobiony szacunek dla pracy. „Życie to nie jest coś gotowego, to nie żadna gotowa rzeczywistość, lecz walka i praca, nieustanne wydzieranie żywiołom, każdego okrucha, każdego momentu ludzkiego istnienia."

Słowa wielkiegó apologety pracy, Stanisława Brzozowskiego, powinny być stale w naszej świadomości.

Podobnie jak Brzozowski, a może nawet silniej akcentował element pracy Wielki Marszałek, Józef Piłsudski: „Dzieje ludzkie w całych tysiącleciach, wszystko to, co nazywamy kulturą są właściwie przetworem ludzkiego żywiołu, człowieczej pracy".

Myśl ta posiada siłę prawa moralnego i zarazem podstawowego prawa istnienia naszego wobec naszych sąsiadów.

Jeśli weźmie się pod uwagę organizacje młodzieży zagranicą, zwartość siłę, a nieraz i heroim, cechujący młodzież faszystowską, hitlerowską lub sowiecką — to odpowiedzialność młodzieży polskiej zwiększy się wielokrotnie.

Prężnej sile młodzieży naszych sąsiadów przeciwstawić musimy jeszcze większą prężność i siłę młodzieży polskiej. Dlatego też każdy z nas wyrobić w sobie powinien **czynną, walczącą postawę wobec życia.**

Przygotowanie wewnętrzne, jakiego wymaga służba dla państwa musi polegać na odpowiednim wykorzystaniu sił duchowych każdej jednostki i obrócenie energii osobistej na pożytek ogólny. Aktywność obowiązywać musi przeto nie tylko wobec otoczenia, ale i wobec nas samych. Nas samych musimy usilnie kształtować, aby wydobyć jak najwięcej wartości społecznych z indywidualnej psychiki.

bedzie hudobno a jak nima zerdki w płocie to sie święci temu kawalerowi panieństwo stare.

Dziewczęta bez tyn cas stojom pod okapem chałupy i słuchajom ka pies sceko stamstela bedom mieć męża i ftóro pierso tego psa usłysy — (przyszło mi znowa na rozum, ze pewnie w mieście jest temu telo staryk panienek ze syćkie psy som powiązane) — ta sie napierso wydo.

Starzy zaś w chałupie bez tyn cas przylepiajom scypty opłatka do syby w oknie lo kozdego domownika po jednem i ftóry piersy zleci na ziem rano tyn już nie doceko sie przysłej świętej wilije, ba zemze...

Po tyk syćkik urocystościak myjom się we wodzie, do ftórej kładom śrybny piniądz, coby byli tacy zdrowi jak srybło złote.

Jak w rodzinie majom jakiego studanta co się ucuje w skole to mu wrucajom kielka róznyk piniędzy do dużego cebrzyka z wodom i kazujom jeden noremnie wyciągnąć. Jak wyciągnie nojwięksy bedzie księdzem jabo japtekorzem, jak troske mniejsy to hadwokatem, jak cołkiem mały to ta taki śniego bedzie ladajaki panek coby się jacy nazywało ze je panek.

Ta wrózba to teraz dopiero jom wynalezli bo ta downo nik sie nie ucowoł bo miał swój rozum to mu pańskiego nie trza beło, hale teraz to się to syćko popsuło.

Przed północom idom do kościoła na pasterke i śpiewajom kolendy Jezuskowi co sie dopierućko urodzieł.

Po pasterce wartko syćko lecom do domu bo sie spedziewajom podłaźników. Podłaźnicy to tacy co jako sie ftóry ice z dzieweckom z tej chałopy ozenić, jako tyz gniewali się z gazdom i fcom sie ślicnie przeprosić, jako majom jenteres taki co do tego nie trza piniędzy. Podłazniki nie śmiom być ubrani do kozucha boby ród tyn mioł krosty i takom skórecke na gięburi jak na starym grzybie, musom być ubrani ślicnie i po gazdowsku w nowe cuzki i musom być bars weseli i tak włazęcy godajom:

Coby sie wom darzyło mnozyło
w kazdym kątku po dziesiątku
w komorze w oborze
wsędyl dobrze.

Na Nowy Rok, coby wom wypod z pieca bok (myślom se coby beło tak duzo i dobrej strawy).

Cobyście mieli owiecek, kielo w lesie mrówiecek.
Cobyście mieli cielicek, kielo w lesie jedlicek.
Cobyście orali ątyroma koniami.
Jak nie ątyroma to trzoma.
Jak nie trzoma to dwoma.
Jak nie dwoma to jednym,
hale co godnym.

Po tym ślicnym godaniu bierom sie syćka po gazdosku do jedzenio, hale to sie zywo bierom. Naprzódzi do baraniej nogi zadniej pote do babek a winkiem se zapijajom coby im warcej sło. A przy tym jedzeniu telo sie juz do figlujom do śmiejom, co pote som wspominki na cały Bozy rok.



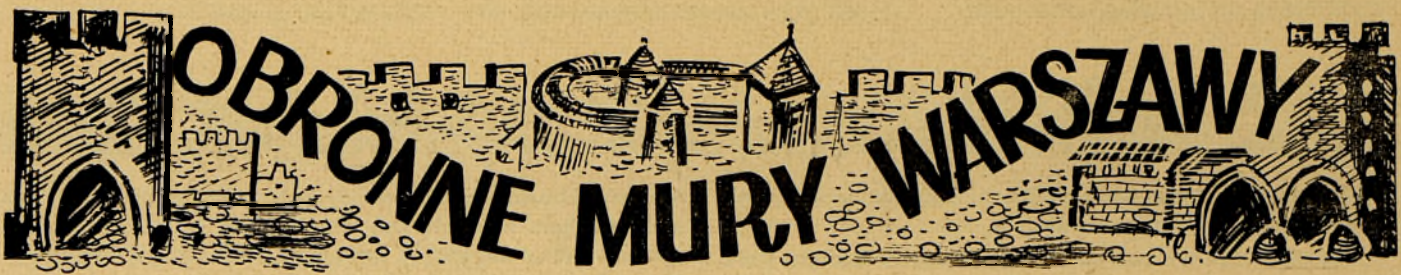
W historii naszej znajdziemy przykłady, które pozwalają nam rozwinąć owocną działalność samowychowawczą i stwarzać nowy typ Polaka. Jesteśmy bowiem w tym momencie dziejów Polski, gdzie niejednokrotnie potrzebne będzie największe samozaparcie dla budowy potęgi państwa. Dlatego powstać musi nowy, żołnierski typ Polaka - pracownika o żywej świadomości swej przynależności do narodu i społeczeństwa, o wielkim zapale dla wszystkich działań, podjętych w imię wielkich ideałów narodowych.

Moralność nowego Polaka polegać powinna na stwierdzeniu, że dla zdrowego i normalnego człowieka nie istnieje nic piękniejszego nad pokonywanie oporów, wynikłych z konsekwentnego wykonywania swej pracy, jako obowiązku społecznego. Cechą tego nowego Polaka winna być może nie zaborczość, lecz jednak wielka ekspansywność, zwłaszcza ekspansywność kulturalna, propaganda polskiej nauki, sztuki, urządzeń społecznych, polskiego gospodarstwa, dalej rozszerzenie polskich wpływów ekonomicznych i kulturalnych.

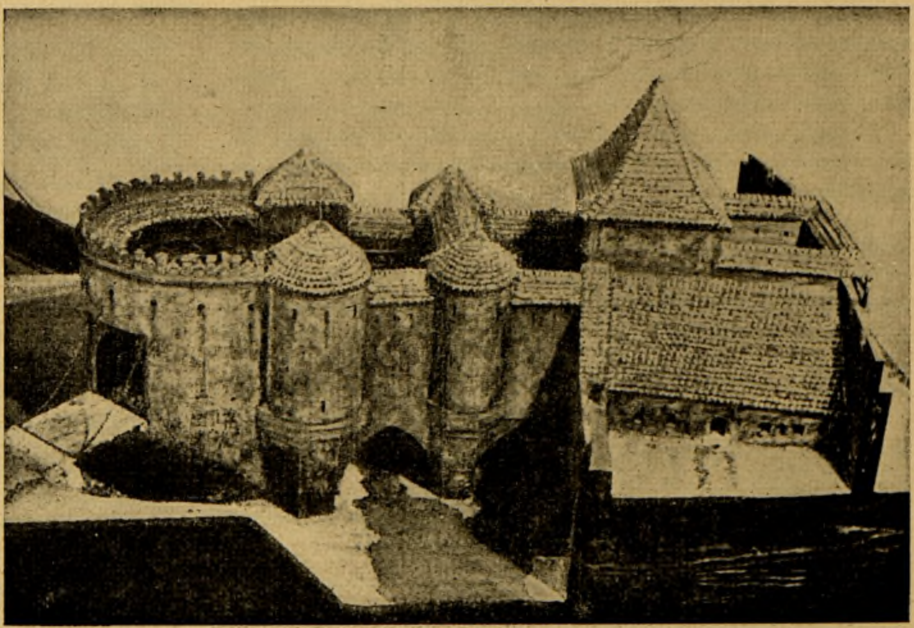
Tworzenie takich wartości psychicznych wymaga celowego, przystowanego do warunków samokształcenia. Nie wystarczy bowiem sprawy te przemyśleć i ocenić, trzeba je samemu przepraktykować w zwyczajnym, szarym życiu, aby móc zrozumieć i uczestniczyć w życiu najpiękniejszym, w życiu mozolnej, wytężonej pracy.

Samokształcenie jest pracą trudną. Może nawet trudniejszą i mozolniejszą od wielu innych, gdyż ma tysiąc wzlotów i tysiąc załamań, z pod których trzeba jak z pod gruzów domu wyciągać resztki niezniszczone, aby móc odkwitnąć na nowo. Wzamian za to praca ta hartuje wolę jak żadna inna. Wzamian za to przygotowuje doskonale do wytężonego, napiętego życia i daje mnóstwo owoców zarówno jednostce jak społeczeństwu. Korzyści jakie jednostka wyciąga z samokształcenia są jasne i zrozumiałe. W trudnych konkurencjach życiowych zawsze zwycięży lepiej przygotowany. Korzyści, jakie osiąga społeczeństwo są wszechstronne i wielowymiarowe. Zrozumieć je będziemy mogli wtedy, gdy potrafimy wytworzyć zastępy młodych, zdolnych, energicznych pracowników i gdy efekty działania tak wyszkolonego narodu zaczną przenikać w najdalsze dziedziny społecznego bytu.

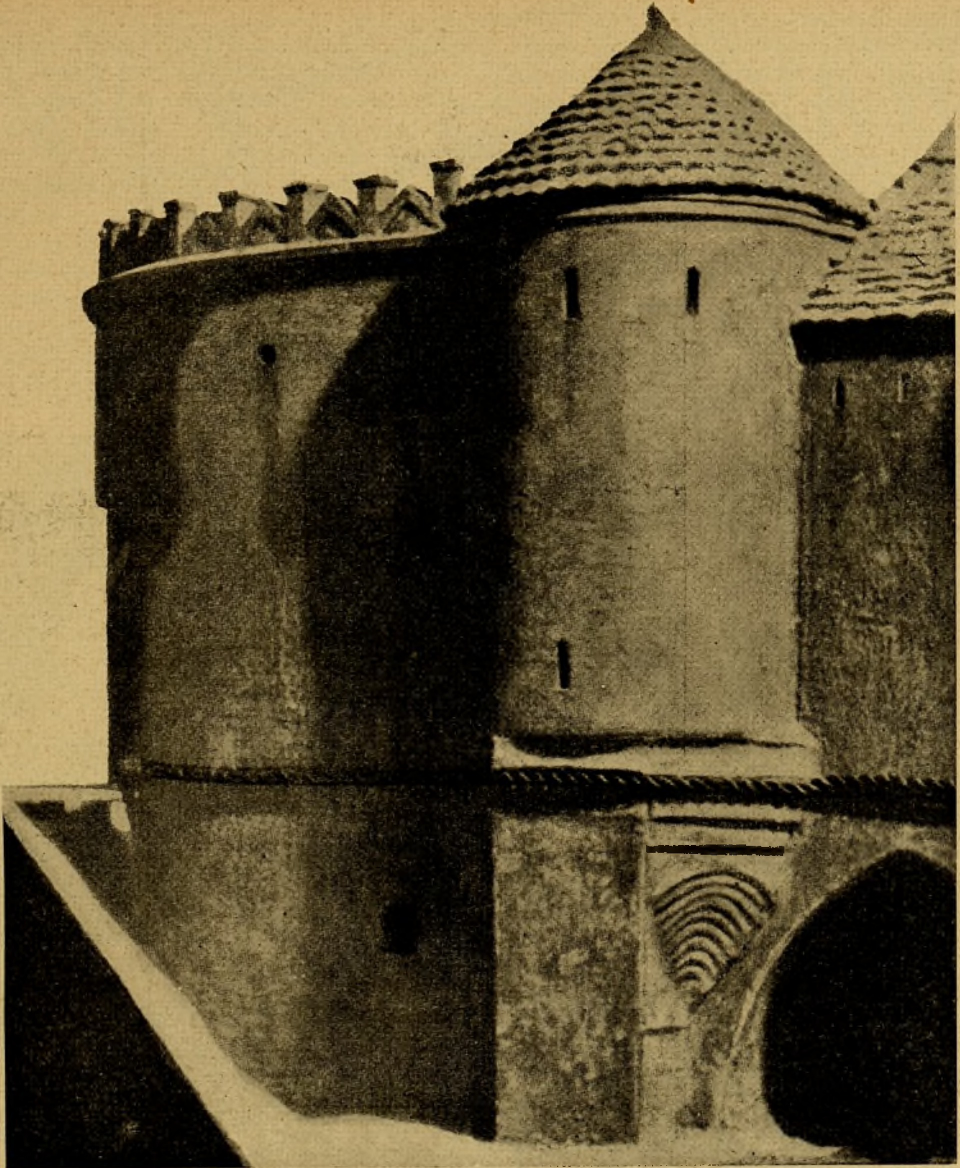
Wacław Józefowski
Łódź



W październiku br. odsłonięto w Warszawie fragment starych murów obronnych na przestrzeni od ulicy Nowomiejskiej do ulicy Wąski Dunaj. Jest to zaledwie drobny wycinek obwarowań, otaczających niegdyś starą Warszawę. Mury okrążały bowiem zwartą, częściowo podwójną linią miasto, rozpięte wzdłuż koryta Wisły pomiędzy Zamkiem a tzw. Wieżą Marszałkowską. Wewnętrzny pierścień murów, obejmujący Warszawę dokoła, powstał już w końcu XIII wieku. Był on opatrzony blankami i posiadał szereg baszt obronnych przeważnie prostokątnych. W wieku XIV wzrastający dobrobyt i znaczenie miasta poczyna wymagać udoskonalenia urządzeń obronnych. Już w początku stulecia powstaje w odległości 12 m. od pierwszej, równoległa do niej, druga linia murów, przerwana tylko na przestrzeni przytykającej do brzegu Wisły, która stanowiła naturalną fortyfikację od wschodu. Mury te, dla umożliwienia obstrzału z obu linii jednocześnie — były niższe od starych, opatrzone kilkoma półokrągłymi basztami. U ich stóp, nazewnątrz, dla otrzymania dostatecznej wysokości niższego pierścienia wykopano fosę, wskutek czego zaszła potrzeba budowy mo-



Model barbakanu przy bramie Nowomiejskiej



Fragment barbakanu

stów, umożliwiających dostęp do miasta. Wyjątkowo interesujący założeniem most wiódł od bramy Nowomiejskiej. Bronił go wielki, półokrągły Barbakan, każde z dwóch przęseł konstrukcji przerwane było mostem zwodzonym, a każdy filar wyprowadzony w górę basztą. Barbakan i baszty mostowe połączone były murem i tworzyły doskonały kompleks obronny.

Od wieku XVI rozpoczyna się walka miasta wylewającego się niepowstrzymanie poza obręb obwarowań—z murami. Rozrost Warszawy niweczył ich znaczenie; najazd szwedzki zapoczątkował ruinę. Jeszcze do końca XVIII wieku przetrwała większość bram wjazdowych i część obwodu. Z pocz. XIX w. rozebrano zbyt wąskie już dla użytku miasta bramy, a obwód murów zaginął, wtopiony w ściany przyległych kamienic i zabudowań. Gdzieniegdzie ponad ich dachy wystawały jeszcze zęby blanków, lub wątłym zarysem majaczyły w ścianie domu resztki dawnego wątku ceglanego, ułożonego starodawnym porządkiem średniowiecznym. Miasto oplątało, zdusiło, zgryzło mury, jakby mszcząc się za czasy, gdy samo znosić musiało twarde więzy obwarowań. I była to walka, w której mury skazane były na klęskę. Warszawa nie jest więc miastem pamiątek — zbyt wiele tkwiło w niej i tkwi siły witalnej.

Odczytanie zarysów obwarowań na sztychach, przedstawiających plany dawnej Warszawy, dostrzeżenie wydzierających się z gąszcza kamienic zębów blankowych, dało inicjatywę, podjętą w 1936 r. przez Zarz. Miej., odsłonięcia przynajmniej części murów. Kierownictwo robót objął dr. inż. J. Zachwatowicz.

Mury, jak się okazało, przetrwały w stanie opłakanym. Naogół zniesione do fundamentów, zachowały się w pełnej wysokości wyłącznie w partiach wbudowanych w ściany kamienic. Te nieliczne fragmenty pozwoliły jednak na odrekonstruowanie murów do właściwej wysokości na całej odkopanej przestrzeni. Baszty uzupełniono na podstawie danych, które dały się odczytać z fundamentów, sprawdzając słuszność spostrzeżeń na sztychach z XVIII w. Z imponującej konstrukcji mostu pozostała tylko dolna kondygnacja i fragment Barbakanu, opatrzony ozdobnymi blankami, wciskający się półkolem w ścianę kamienicy. W obawie dowolności nie odtwarzano baszt mostowych, gdzieniegdzie tylko wypełniając wyrwy w przęsłach. Z tych samych względów nie wyprowadzano do pełnej wysokości niektórych baszt w obwodzie, gdyż brakło co do nich dostatecznych danych pozwalających odtworzyć ich pierwotny wygląd. Partie rekonstruowane odgraniczono natomiast od starego wątku listwą czarnej zaprawy. Jak stąd widać rekonstrukcja dokonywana była bardzo czujnie i starannie. Można powiedzieć iż jest ona nieomal wzorem analogicznych poczynań. Ale jednocześnie im więcej zalet posiada sama metoda rekonstrukcyjna — tym więcej

budzi zastrzeżeń efekt ostateczny. Nie jest on zadawalający. Mury rażą czerwoną, świeżutką cegłą, załamanym „pod linię" obrysem blanków, całą czyściutką, ale — trzeba to powiedzieć — fabryczną robotą. Robią wrażenie czegoś sztucznego, niezespolonego z podłożem, przytym dziwnie wiotkiego, bezsilnego. Odrekonstruowane mury zwracają się przeciw idei rekonstrukcji...

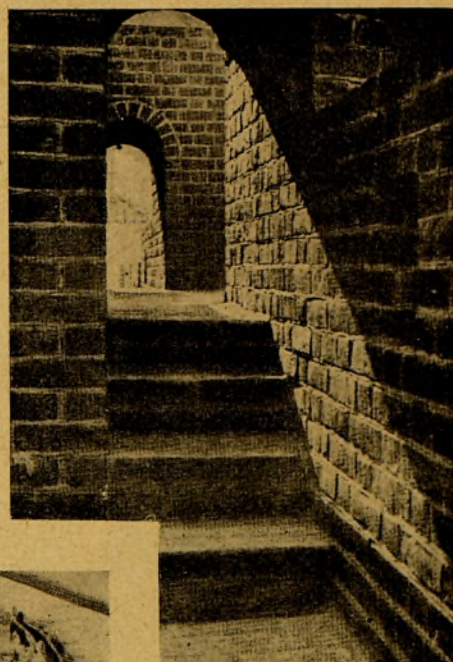
A teraz pytanie: jakie znaczenie posiada dla Warszawy odkrycie obwarowań?

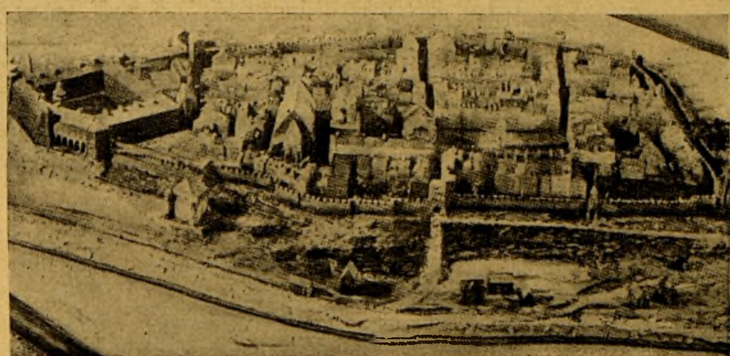
Poza interesującym mostem, kompleks murów nie zawiera właściwie żadnych oryginalnych momentów. Pozostawałoby więc głównie „wartość moralna" unaocznienie najstarożytniejszego zabytku Warszawy. Wydobycie na jaw szczątków prastarego konturu miasta, niejako dotykalne obramowanie i uchwycenie owego jądra, z którego wyszła dzisiejsza Warszawa. Fakt ten jest o tyle jeszcze aktualny, że istotnie przechował się dotąd na Starym Mieście, średniowieczny, szachownicowy plan Warszawy, z Rynkiem w centrum, z główną arterią, łączącą Zamek, kościół katedralny i główną bramę wjazdową — Nowomiejską. Bieg murów jest jeszcze zrozumiały, logicznie powiązany z planem obszaru, który otaczają.

Ale ten plan przetrwał tylko jako ogólny zarys, do którego dostosowywał się rozkład zabudowy — nowej. Gotyku pozostało niewiele. Kilka odsłoniętych dziś łuków portalowych na Rynku i w bocznych ulicach — oto wszystko co prześwituje jeszcze poprzez późnorenesansowy i barokowy zespół architektury. Zespół — pochodzący z czasu, gdy mury traciły już na znaczeniu, zespół wrogi murom, wywodzący się z innego ducha. Przytym zespół zwycięski — bo ten który w przeciwieństwie do średniowiecza, przysporzył Warszawie szereg artystycznych zabytków. Zespół okresu rozkwitu, rozrostu — zostaje znów skonfrontowany z architekturą symbolizującą na terenie Warszawy raczej okres zacofania i przeciętności. Stwarza to obraz — dużo wprawdzie mówiący o rytmie rozwojowym Warszawy, ale mówiący może nie tak jak chcieli inicjatorowie rekonstrukcji. Zamiast unaocznienia starożytnej genealogji miasta — zostaje unaoczniona jej młodszość kulturalna. W przeciwieństwie do bogatej i pięknej spuścizny renesansu i baroku — ze średniowiecza pozostał szczupły obrys murów i kilka szczegółów architektonicznych pozbawionych większej wartości artystycznej. Niebezpieczną stroną roli, jaką mają spełnić mury — jest przypomnienie o warszawskim średniowieczu. Szukając go, trafiamy właściwie na pustkę. I mimowoli zadajemy sobie pytanie: poco z tak wielkim wysiłkiem wskrzeszać zabytki czasu, który dla Warszawy jest właśnie stosunkowo mało charakterystycznym?..

Ł.







L U B I Ę!

Lubię siadywać tylko sam, z mą ciszą,
Wspomnienia płyną, jak pajęcze nitki,
Ja je rozumiem, a one mnie słyszą,
I świat się zdaje wówczas taki płytki!

Lubię nad rzeką, kiedy słońca blaski
Kąpią się w wody niespokojnym szumie,
Sypać pod słońce wspomnień moich piaski,
One mnie słyszą, a ja je rozumiem!

Kiedy się wietrzyk rozigra swawolny
Na jego skrzydłach dusza przestrzeń mierzy,
Wtedy tak drogim jest mi kwiatek polny
I jesteśmy, jako przyjaciele szczerzy.

On mi się skarży, że zawodu doznał,
Że listki jego zmarniały z żałości,
A ja mu mówię, że jeszcze nie poznał,
Co znaczy ludzki ocean podłości.

O, nie płacz kwiatku szczęścia przeżytego
I umiej wzbudzić wspomnień błogie chwile,
Przywołaj obraz z życia wyśnionego,
Niech on nie traci nigdy na swej sile.

Lubię przy świetle księżyca pobladłym
Patrzeć w dal błędną, aż na krańce świata,
Szczęśliwy jestem, że jeszcze nie padłem
Ofiorą w mojej w sny spowite lata!

Stefan Pruś

LUDZIE PIĘKNI DUCHEM

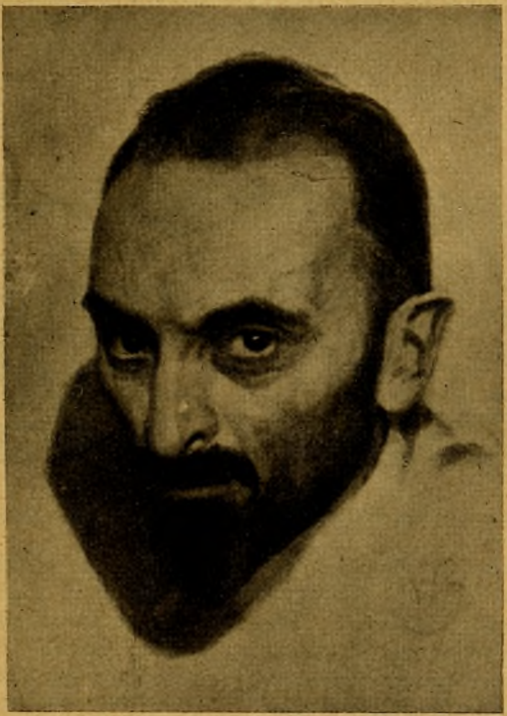
ADAM SKWARCZYŃSKI

„Najważniejszym i decydującym jest rozpęd moralny i ambicja twórcza, które ani na chwilę nie powinny być zamglone leniwym poszukiwaniem rzeczy wygodnych i łatwych"
A. Skwarczyński: Myśli o nowej Polsce.

Nazwisko Adama Skwarczyńskiego znane jest współczesnemu pokoleniu. Związane nierozerwalnie z pięknym i owocnym żywotem niestrudzonego pracownika i myśliciela, powinno budzić zawsze poważne refleksje, dotyczące spraw najbardziej zasadniczych, gdyż najżywotniejszych zjawisk narodowych i państwowych.

Czterdziestosiedmioletnie życie Adama jest wypełnione po brzegi bogatą działalnością. Urodzony w roku 1886 w Wierzchni (Małopolska Wschodnia), kończy gimnazjum i uniwersytet we Lwowie, współpracuje w związkach niepodległościowych młodzieży. Od roku 1908 pisuje w pismach socjalistycznych pod pseudoninem Adama Płomieńczyka. Bierze następnie udział, jako współpracownik Wielkiego Marszałka w pracach organizacyjnych Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego. Później przenosi się do Warszawy i pracuje tutaj w Komendzie P. O. W. oraz redaguje dwutygodnik: Rząd i Wojsko, a następnie i Nową Gazetę, (obecnie — Gazeta Polska). W roku 1917 aresztują go okupanci, aby wypuścić na wolność w listopadzie 1918 r.

W odrodzonej Rzeczypospolitej pracuje w Ministerstwie Spraw Wojskowych i redaguje świetny periodyk: Drogę. Ostatnie siedem lat pracuje w Kancelarii Cywilnej Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Jest wielkim przyjacielem młodzieży, roztacza serdeczną opiekę nad pismem młodzieży szkolnej Kuźnia Młodych, posiadającym bardzo piękną kartę w prasie młodzieżowej. Jest założycielem Organizacji Pracy Obywatelskiej Młodzieży, Straż Przednia, jej prezesem i kierownikiem ideowym. Kładzie zręby ideowe pod Organizację Młodzieży Pracującej, przeznaczoną dla młodych robotników, zajmuje się również problemem organizowania młodzieży wiejskiej. Umiera w dniu 2 kwietnia 1934 r.



Był pewien okres czasu kiedy nazwisko Adama Skwarczyńskiego było sztandarem młodego pokolenia. Przykuty chorobą do łoża potrafił on oddziaływać potężnie i kształtująco na dusze młodzieży. Tajemnica zaś tego działania kryła się w olbrzymiej sile charakteru i w treści głoszonych przezeń myśli.

Siła charakteru Adama Skwarczyńskiego polegała na nieustępliwej, zażartej pracy, która wypełniała mu całkowicie życie. Polegała dalej na płomiennej wierze w dobro głoszonych prawd i w potęgę pracy. Węzły głębokiego duchowego pokrewieństwa łączą go tutaj ze Stanisławem Brzozowskim, który również pracę uważał za jądro istnienia ludzkiego. To samo przekonanie posiadał zresztą największy Polak Józef Piłsudski, gdy pisał: „Dzieje polskie w całych tysiącleciach, wszystko, to co nazywamy kulturą są właściwie przetworem ludzkiego żywiołu, człowieczej pracy"... A Brzozowski: „Tylko człowiek nie opierający się wobec wszechświata na niczym prócz swojej pracy, prócz swego własnego życia tylko człowiek wysiłkiem własnym utrzymujący na danym poziomie ludzką potęgę techniczną jest właściwym subiektem prawa".

I to samo ujmuje Skwarczyński: „W pracy społecznej, codziennej na wielkich polach, pracy ekonomicznej, mającej na celu nie zysk doraźny, ale istotę rzeczy - wytwórczość, w organizacjach pracy zawodowej, mającej na celu prócz walki o ulgę i prócz samopomocy, przede wszystkim pogłębienie stosunku pracownika do zawodu, w pracy kulturalnej, mającej na celu nie tani popis, ale znów istotę rzeczy — wyzwolenie możliwości twórczych jednostki i gromady, w pracy wojskowo - wychowawczej, znów nie do popisów, ale do wyrobienia cnót bojownika, w zrzeszeniach sportowych zarówno jak artystycznych, zespołach naukowych jak i ideowych — wytwarzać się będzie w rytmie załatwiana i przepracowywania codziennych zadań atmosfery zrosłej z rzeczywistością moralności, — moralności człowieka, który czuje jak w miarę wysiłku rzecz mu pod palcami rośnie, jak z jej wzrostem wzmaga się własna jego siła i swoboda, poczucie odpowiedzialności i zdolność do nowej inicjatywy."

Praca bowiem dla Skwarczyńskiego występuje jako element nawskroś moralny, element, na którym buduje się cały profil prawdziwego życia ludzkiego. Cechuje go dalej romantyzm tak charakterystyczny dla wszystkich ludzi, którzy wyszli ze szkoły Wielkiego Marszałka. Romantyzm ten sięga prawie mistyki i posiada silne przydźwięki poglądów Słowackiego. Romantyzm swój tak Skwarczyński tłumaczy: „W Polsce rozwój i postęp zdobywany był i to nie tylko w ostatniej fazie dziejowej, wybuchami ducha, inspiracją, ofiarą, heroizmem czynnym, entuzjazmem"

Cały wysiłek Adama w odrodzonej Polsce, wysiłek myśliciela szedł w kierunku wykuwania prawd programowych, prawd któreby ujmując i regulując życie polskie, dawały jednocześnie gwarancję marszu do potęgi, marszu do rozrostu wszystkich żywotnych sił narodu. Formułował już wtedy, to co

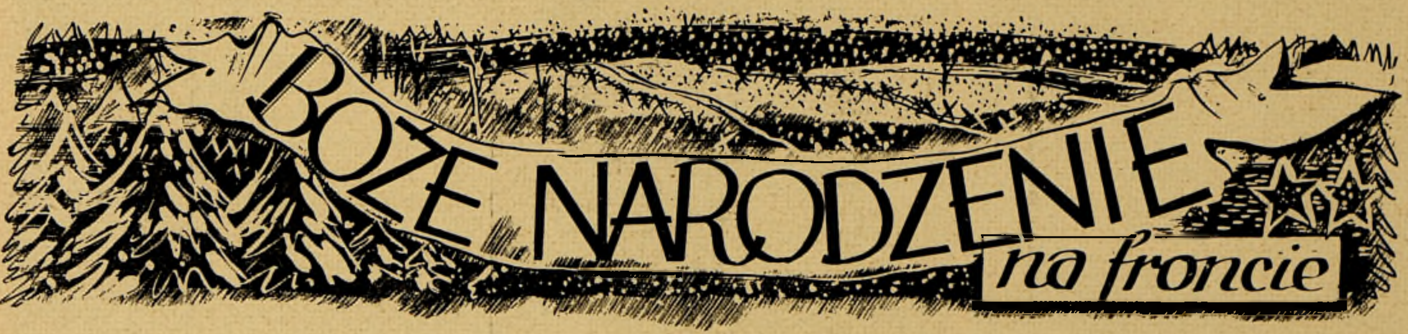
dziś jeszcze nie zostało w pełni wprzęgnięte w codzienną praktykę życia polskiego." Dzieje dają nam do wyboru: zmarnieć lub być potęgą. Trwać i płynąć na „automatycznie" posuwającej się fali jest dla nas niemożliwością."

„Bo kto chce — pisze dalej — by naród tworzył, by naród szedł w górę, by naród rósł w potęgę, by spełniał misję — ten musi sięgnąć w serce, zmienić dusze, przetworzyć całość życia ludzkiego. A tego nie dokona filozofia, słowo, hasło. Dokonać może tego tylko praca".

Całość pracy Skwarczyńskiego była poszukiwaniem tych prawd i wskazań, któreby mogły przewarzać polską psychikę i przystosować ją do nowych warunków bytu. Aby ta nowa psychika mogła być podłożem wspólnej i owocnej pracy całego społeczeństwa. Dlatego bez wahania odrzuca dorobek polskiej myśli z okresu niewoli, stwierdzając, że w nowych warunkach byłaby ona „chimerą szkodliwą, haszyszem, zaciemniającym wzrok skierowany na konkretne zagadnienia życia". Pragnął zbudować nowy typ Polaka twórczego - pracownika, szlachetnego - idealisty, ale równocześnie trzeźwego organizatora, patrzącego realnie w procesy życiowe.

Praca Adama Skwarczyńskiego nie poszła na marne. Część jego wskazań realizuje dotąd założona przezeń Straż Przednia, część żywym echem odbijając się w społeczeństwie zdobywa sobie powoli prawo obywatelstwa. Niemniej jednak ciągle jeszcze czeka na realizację razem z wielkimi myślami Żeromskiego, czeka na entuzjastycznych wykonawców, którzy będą w myśl wskazań organizować polskie życie, aby potoczyło się orlim torem potęgi.

Tadeusz Asłonczek



Przedruk z pamiętnika Wacława Lipińskiego pt. Szlakiem I Brygady.

24 grudzień. Łowczówek. — W lasku nieustanny, przenikliwy trzask pękających nad głowami ekrazytówek. Dowiaduję się po drodze od łącznika, że Zdzich Chabowski zabity został zaraz pod wieczór, w pierwszych godzinach. Oprócz Zdzicha zabitych jest jeszcze trzech: podoficer, zafrontowiec Brzeski (Wysznacki), Kubik i Kapuścik z II plutonu.

W rezerwie chłopcy rozłożeni na mokrej, szeleszczącej zeschłymi liśćmi ziemi — opowiadają o szczegółach wczorajszego dnia. Zdzich Chabowski zginął, wyrwawszy się na ochotnika, by ratować wracającego z patrolu Kapuścika. Rozszarpany został kulami, gdyż Moskale podsunęli się pod same okopy. Wysznacki dostał w serce, gdy w ciasnym okopie siedział na kolanach Narbutta...

Godzina za godziną mija, powoli się zmierzcha, krwawe blaski wieczornej zorzy zalewają, czerwienią młody las. Wieczór wigilijny. Łamiąc się sucharami, bo nie dla wszystkich starczyło opłatków, składamy sobie życzenia, siląc się na humor i beztroskę. Pierwsza wigilia spędzona w polu, daleko od rodzinnego domu...

Zapada wieczór i biały księżyc osrebrza las. Po godzinie wycofują nas i cicho, tajemniczo z bagnetami na broni wychodzimy z lasku. Cisza — tylko coraz zaśpiewa kulka i trzaśnie o drzewo.

W głuchej ciszy doszliśmy do kwatery Fleszara, gdzie za chwilę rozkaz zmieniono. Wracamy do okopów. Błądząc trochę po pagórkach lasku, dochodzimy wreszcie na dawne miejsce. Ledwieśmy stanęli, by zająć rozpoznawane okopy, gdy nagle migotliwa koronka ognia trzasnęła nam w twarz. Salwa Moskali, którzy po chwilowym wycofaniu się naszym — doszli już do okopów i zajęli je.

Zawahała się wiara w pierwszej chwili i zachwiała, ale krzykiem Narbutta poderwana — ruszyła gwałtownie naprzód, wprost na błysk karabinów, bijących w nas o kilkanaście kroków. Z krzykiem zajęliśmy okopy, już opróżnione...

Całą noc bez zmrużenia powiek tkwiliśmy w nieustannym prawie ogniu. Co chwila szmery podnosiły się przed nami i trzeba było kropić co sił...

W okopie bije obok mnie Weze*) z III plutonu, a między nami całkiem spokojnie leżał trup moskiewski... Zemocjonowani, czujni, z natężoną uwagą słuchający przedpola, aniśmy go spostrzegli, dopiero nad ranem w sinym blasku ujrzał go pierwszy Weze, poczem chwalebnymi wysiłkami wyrzuciliśmy go z okopu wdół do Moskali.

Przez caluteńki dzień uwaga napięta, naprężona. Moskale leżą pod nami na równi pochyłej, o jakie 30 do 40 kroków. Co chwila zrywa się stamtąd gwałtowny trzask ognia, na który my natychmiast odpowiadamy grzechotem manlicherów... W przerwach polujemy na siwe, baranie czapy moskiewskie, co nam o tyle łatwiej przychodzi, że jesteśmy na górze, a oni na dole...

Obchodzimy dziś pierwsze święto Bożego Narodzenia. Co jakiś czas, w gruchocie ognia, przy nieco dysharmonijnym okrzyku rannych, których sypie się coraz więcej, śpiewamy kolędy...

Zawodzimy staropolskie „Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj"... składając się z karabinów, na których błyszczące zamki od czasu do czasu kapnie sentymentalna łezka...

Poza tym trzyma się nas dziki upór i gotowiśmy na pazury drzeć się z sybircami, choćby za to, że nam tak piękne święto w kochanym Sączu na nic popsuli...

Piszę te słowa w okopie, opierając się o żółtą, trochę grób świeży przypominającą ścianę, gdy tymczasem mój towarzysz uważnie penetruje krzaki przed sobą czy nie wysuwa się stamtąd jaka czapa... Wiara poza tym na zmienę strzela, śpiewa i czyta. Bowiem w Podegrodziu obrabowaliśmy doszczętnie jakąś bibliotekę szkolną i każdy napchał se do tornistrów lektury od powiastek Teresy Jadwigi począwszy na Słowackim i Wyspiańskim skończywszy. Gdy który ranny i zabity zostawi tornister, wyjmują stamtąd inni książki. Jest tego tak wiele, że wiatr się bawi białymi kartkami i przerzuca je do Moskali. Co te jełopy se pomyślą, gdy im „kawałek" Sienkiewicza czy Słowackiego wiatr zaniesie?...

O 4-ej chyłkiem, tajemniczo, już o zmroku wycofaliśmy się zupełnie z lasku dzięki Austriakom, którzy zwiali na skrzydłach i samych nas w lasku zostawili. Natychmiast po opuszczeniu przez nas okopów Moskale ruszyli na lasek z okropnym „urra"!

Do późnej nocy błąkaliśmy się po różnych dziurach, aż wreszcie stanęliśmy we wsi Wróblewicach.

---

*) Zginął w legionach.

Amatorski film dźwiękowy w Polsce

Na ogół nie ma nic specjalnie interesującego w fakcie, że w jednym z największych kin stolicy (Collosseum) wyświetlano film. Tym bardziej, że obraz ów nie odznaczał się niczym nadzwyczajnym. Ot — normalny, dźwiekowy film. Jedno było dziwne — smuga światła rzucana przez projektor, nie wychodziła z okienka kabiny operatora, tylko miała swe źródło na sali, między publicznością. A mimo to, obraz pokrywał cały, duży ekran (3×4 m), dźwięk był doskonale słyszalny przez najdalszych widzów. Jako dziennikarz postanowiłem bliżej zbadać tę sprawę. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy dotłoczywszy się wreszcie, ujrzałem ustawiony na stoliku mały aparat, pracujący na taśmie 16 mm. To maleństwo obsługiwało salę z 2000 osób, dając jasny, ostry obraz i silny, pełno - brzmiący dźwięk! Ponieważ na miejscu nie mogło być mowy o wywiadzie, spytałem tedy o adres i już drugiego dnia byłem w Instytucie Filmowym P. A. T.-a

Jak wiadomo Ministerstwo W. R. i O. P. powierzyło tej instytucji akcję zkinematyzowania szkół. Zrozumiano bowiem, że film - obraz ruchomy świetnie przemawia do oglądających go, że jest nie tylko rozrywką, ale i wielką pomocą w nauce. Ryciny i fotografie są bezwzględnie ułatwieniem, redukującym częściowo bezmyślne odkuwanie się. Lecz najlepsze nawet zdjęcia, czy szkic schematyczny, nie posiadają ekspresji właściwej ruchowi, zaklętemu we wstęgę filmu. Podobnie, jak najlepiej napisana książka nigdy nie będzie miała bezpośredniości słowa mówionego. Nauka objaśniona filmem, dysponującym nieskończoną ilością środków technicznych, przestała być zbiorem suchych liter — nabrała życia.

Lecz nie wystarczy uznać faktu przydatności filmu w nauce — trzeba go wykorzystać — udostępnić widzom. Nie można też ograniczyć się do wyświetlania go w większych miastach. Obraz musi przede wszystkim dotrzeć do miasteczek i wsi położonych w dość „niedostępnych" okolicach. Trudno byłoby objeżdżać rejon kilku wsi, wożąc ze sobą wielki aparat projekcyjny na szeroką taśmę 35 mm. Trudno żądać od szkół, lub stowarzyszeń, by wydawały dziesiątki tysięcy na kupno nieporęcznego, niewytrzymałego na wstrząsu transportu projektora. Jeśli dodamy, że koszt taśmy 35 mm, jest kilka razy wyższy od 16-to mm. — To zrozumiemy, dlaczego całą uwagę poświęcono, amatorskim aparatom filmowym.

Historia zastosowania wąsko - taśmowych obrazów, jako pomocy naukowej ma już w Polsce swoją tradycję. 10 lat temu utworzono specjalną sekcję przy Muzeum Przemysłu i Techniki, która miała zajmować się tym specjalnie działem . Sprowadzono parę aparatów, oraz 40 filmów instrukcyjnych i rolniczych. Z biegiem lat sekcja rozrastała się, by w roku 1932, już jako Instytut Filmowy przyłączyć się do PAT-a.

Tutaj dopiero zajęto się racjonalną organizacją. Zbadano szereg modeli, wybrano najprostsze i najsolidniejsze, oraz powiekszono filmo - tekę. Trzy lata temu sprowadzono 50 aparatów DEBRIE, i tym rozpoczęto, na wielką skalę zakrojoną, akcję kinematyzacji kraju. Mimo wysokiej ceny (ok. 1200 zł.) rynek polski wchłonął w siebie tą pierwszą partię. Następne rozchodziły się również szybko.

Przyczyniło się do tego bezwzględnie znaczne zwiększenie ilości filmów. Jedno bowiem z labolatoriów zaopatrzyło się w specjalną kopiarkę, pozwalającą na zmniejszanie (redukcję) obrazu z taśmy 35 mm na 16 mm. Rezultatem tego było zredukowanie 72 filmów pełno - metrażowych, i około 500 dodatków.

Film dźwiękowy na aparaturze 16 mm. — jeden z ostatnich wynalazków zagranicy — szybko zasymilował się w Polsce. Dziś na 270 aparatów, sprzedanych przez Instytut Filmowy, mamy tylko 80 niemych.

Mimo swych niewielkich wymiarów aparat dźwiękowy jest stosunkowo prosty, kosztuje bardzo dużo, bo 2600 zł, lecz z jednej strony dogodne raty (24 miesiące)) i premie, z drugiej zaś możność uzupełnienia niemych projektorów przystawką dźwiękową, wzmacniaczem i głośnikiem, zdobyły dźwiękowcom wąsko - taśmowym prawo obywatelstwa w polskich szkołach i związkach kulturalno o'wiatowych.

A repertuar wypożyczalni ciągle się powiększa, katalogując coraz to nowe, lepsze filmy.

Szczególnie krótko - metrażówki naukowe są wspaniale opracowane; pokazują widzom rzeczy, trudne do nauczenia się ujęte w ciekawą formę rozrywki.

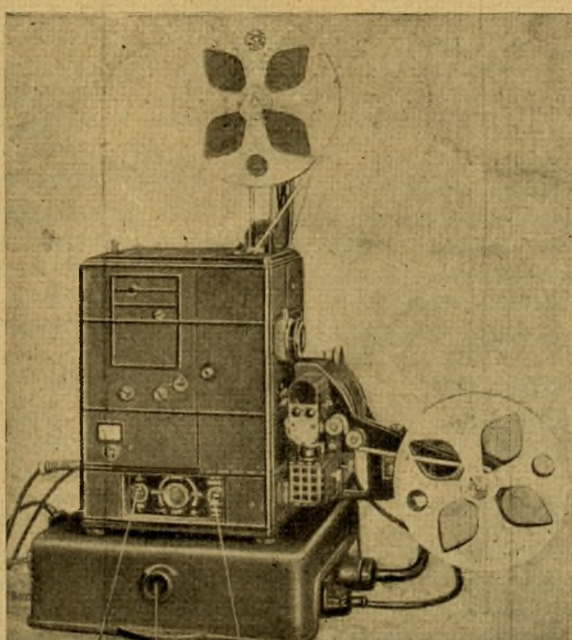
Niedługo mają się ukazać redukcje rozrywkowych filmów zagranicznych, brak tylko narazie wąsko - taśmowej kopiarki, na której można by wmontować w obrazy napisy tłumaczeń.

Szkoda tylko, że nie ma projektora dźwiękowego, który zbudowany przez **polskich** inżynierów, wykonany przez **polskich** robotników, byłby produkowany z myślą o specyficznie naszych warunkach pracy, który byłby mniej delikatny, zmontowany w formie poręcznej do transportu.

Byłby on przede wszystkim krajowej produkcji, co zahamowałoby, nieodzowny narazie, odpływ pieniędzy za granicę.

A możeby któryś ze zdolniejszych konstruktorów pomyślał nad **wykorzystaniem 3-lompowego aparatu radiowego, jako wzmacniacza połączonego z głosnikiem.**

Obniżyłoby to znacznie koszt projektorów dźwiękowych.

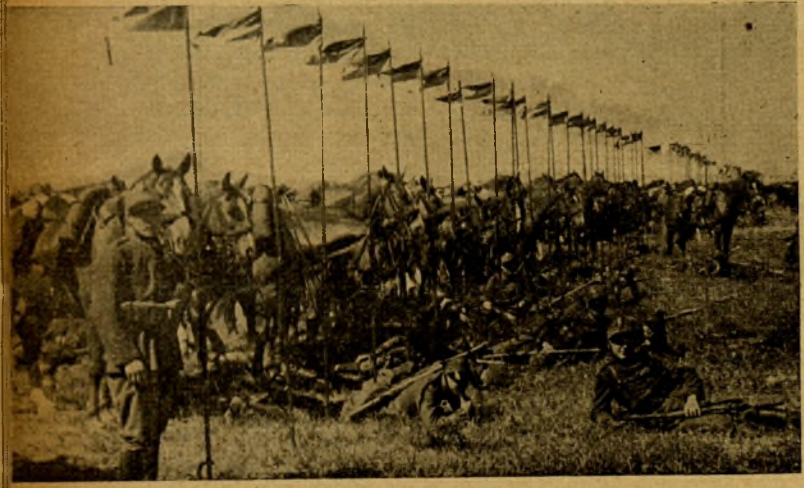


„Dźwiękowy projektor „AEG" na 16-kę"

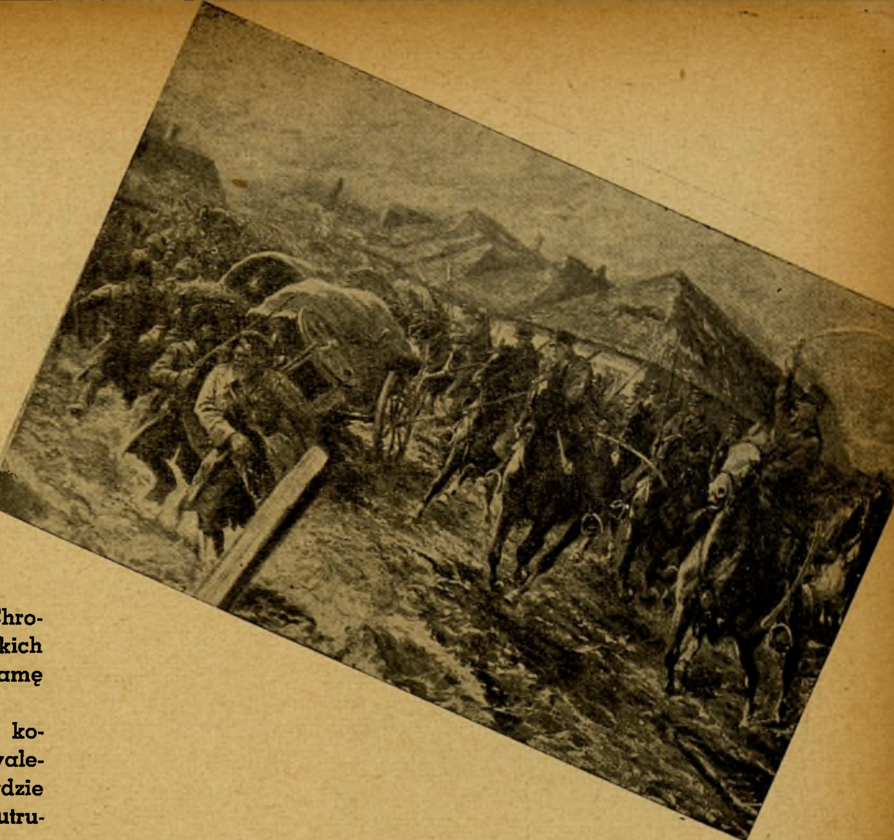
Wacław Podhorski-Okołów

NIE MASZ PANA NAD UŁANA













Zdjęcie u góry: Szarża ułanów Zaniemeńskich pod Hrebionką (obraz J. Kossaka)
u dołu: Odpoczynek

Każda broń ma swoje szyki,
My też szyków mamy wbród,
Tyraliery... harcowniki....
Ale szarża — to nasz cud!
Błyszczą szable, proporcami
Targa wściekły koni cwał,
Ziemia drży pod kopytami,
W sercu zapał, rozkosz, szał.
W uszach szum, w oczach purpura
W niebo groźny bije krzyk,
Szwoleżery, naprzód! Hura!...

(Gen. Wieniawa-Dugoszewski)

Oto szwoleżerów i ułanów, oto kawalerii szyk!

W tych kilku jędrnych słowach autor zobrazował nam ten piękny „fason" kawaleryjski, który jest niezbędną cechą dobrej kawalerii.

Kawaleria jest, obok piechoty, najstarszym rodzajem broni. W swych długich dziejach przeżywała ona liczne chwile wielkich tryumfów, kiedy sztandary jej otoczone były aureolą wspaniałej sławy, ale miała też momenty, kiedy chyliła się do zupełnego prawie upadku. I jeżeli przebiegniemy myślą karty historii, to stwierdzimy, że upadek kawalerii następował zawsze w chwilach, gdy sprzeniewierzała się ona wspomnianemu na wstępie fasonowi kawaleryjskiemu, gdy zaniedbywała wykorzystać swoją szybkość. Bo szybkość poruszeń i gwałtowność uderzeń, bo rozmach i brawura, granicząca z zuchwalstwem — to najistotniejsze i najcenniejsze cechy kawalerii; jeśli nie chce lub nie umie cech tych wyzyskać, to musi usunąć się w cień przed potęgą masy piechoty i przed potęgą ognia artylerii.

Dumą nas jednak musi napawać fakt, że kawaleria polska, ta nasza narodowa broń, w rzadkich tylko wypadkach przestawała być wierną swym ideałom. I dlatego przez długie wieki przoduje ona wszystkim innym kawaleriom Europy, roznosząc sławę oręża polskiego na świat cały i zadziwiając go swymi czynami.

Kiedy wynaleziono broń palną, rozpowszechniły się na Zachodzie mniemania, że kawalerzysta na koniu stanowi zbyt wielki cel, aby mógł się pokazywać na polu bitwy. Stąd w całej prawie Europie kawaleria unika starcia wręcz, wykonanego z impetem, a ucieka się do jakiegoś dziwacznego prowadzenia ognia z pistoletów. Wyłącznie polska kawaleria, pełna wiary w siebie, zachowała swoją taktykę uderzania cwałem w masie, to też odnosiła stale wspaniałe zwycięstwa. Przykładami takich zwycięstw są np. bitwy pod Kircholmem, Obertynem, Kłuszynem, Wiedniem, w których niekiedy garstki jazdy polskiej rozbijały całkowicie wroga o kilkunastokrotnej przewadze.

Widząc świetne sukcesy jazdy polskiej, kawalerie zachodnie przejmowały stopniowo od niej sposoby walki i ugruntowania bojowego, przejmując nawet nazwę (ułan) i nakrycie głowy (czako).

I oto kawaleria, doznając wspaniałego odrodzenia, staje się znowu jednym z głównych rodzajów broni, a będąc po mistrzowsku używaną przez Napoleona, osiąga nawet szczytowy punkt w swym dotychczasowym rozwoju.

Niestety, nauki Napoleona niebawem ulegają zapomnieniu. Epoka ponapoleońska wykazuje całkowity zanik kawaleryjskiej myśli taktycznej, bo znowu w nawale nowoczesności, wobec dalszego wielkiego rozwoju broni palnej, zapomina się o podstawowej zalecie kawalerii: o jej ruchliwości.

Nadchodzi wreszcie wielka wojna 1914 roku! Wojna, która wprowadza użycie licznych karabinów maszynowych, wypuszczających setki pocisków na minutę, która wprowadza samoloty i czołgi, która zmusza wojska przeciwników do wkopania się głęboko w ziemię. Ówczesne pole bitwy, poprzecinane niekończącymi się rowami strzeleckimi, pokryte głębokimi lejami od pocisków armatnich, usiane żelozo - betonowymi schronami, pokryte szerokimi pasmami drutów kolczastych, nie stanowiło zaiste wdzięcznego terenu dla popisu kawalerii. Zwłaszcza, że do popisów takich jej nie wychowano, karmiąc ją przez długie dziesiątki lat negacjami o jej nieprzydatności w warunkach nowoczesnej walki. Błędne podstawy, poparte dalszymi błędnymi wnioskami, doprowadzają wreszcie do tego, że liczne kawalerie po obu stronach frontu muszą oddać konie i zaryć się do okopów, aby walczyć narówni z piechotą.

I oto nadchodzi rok 1918! Odradza się Polska, a z Nią odradzają się liczne oddziały polskiej kawalerii.

Nic to, że polscy ułani, strzelcy konni i szwoleżerowie siedzą na nieujeżdżonych koniach!

Nic to, że pod płaszczykiem wojskowym mają częstokroć ubrania cywilne!

Nic to, że szablę i lancę dzierżą słabą i niewprawną dłonią!

Ale już są przepojeni radością, że na tej lancy łopoce barwny proporczyk, już odnajdują nieśmiertelny polski fason kawaleryjski, już sięgają pewną ręką po zerwaną ongiś nić tradycji kawleryskiej, już chcą być godnymi swych przodków i tak, jak oni przed wiekami, chcą być nauczycielami dla obcych kawalerzystów, chcą im pokazać, jak zwyciężać trzeba!

I ruszają w pole, pełni wiary w swoją broń ukochoną!

I — oto śmiałym manewrem oskrzydlającym zdobywają w darze imieninowym dla Naczelnego Wodza Wilno, miasto miłe Jego sercu!

— oto brawurowym przedarciem się przez front i wyjściem na dalekie tyły przeciwnika, otwierają własnej piechocie drogę na bogate, rozległe pola Ukrainy!

— oto idą szlakiem Bolesława Chrobrego wojów, aby tętent kopyt polskich koni odbił się znowu o Złotą Bramę Kijowa!

— oto rozbijają na głowę hordy kozactwa Budiennego w sławnej kawaleryjskiej bitwie pod Komarowem, gdzie szarża za szarżą następowała, a utrudzone ramiona niezdolne już były szabli i lancy utrzymać!

— oto kończą zwycięską wojnę wspaniałym zagonem na Korosteń, powodując ostateczny upadek ducha u wroga!

*

A jak jest dzisiaj? — jak będzie w przyszłości?

Zadania kawalerii pozostają nadal niezmienne. Tak, jak dawniej, będzie ona musiała prowadzić rozpoznanie, żeby stwierdzić, gdzie jest nieprzyjaciel, jakie przyjmuje ugrupowanie, co robi. Dane te potrzebne bowiem będą wodzowi dla ułożenia planu działania.

Tak, jak dawniej, będzie ona brała udział w walnych bitwach, wespół z piechotą dążąc do rozgromienia przeciwnika. Dzięki swej szybkości będzie ona niespodzianie uderzała na skrzydło lub tyły wroga, wnosząc w jego szeregi zamęt i panikę.

I wreszcie tak, jak dawniej, będzie ona główną bronią w pościgu, który zbiera owoce zwycięstwa.

Zdawaćby się mogło, że daleko lepiej zadania te wykonają oddziały broni pancernej, które są przecież znacznie szybsze, a o wiele mniej wrażliwe na ogień. Czy zatem nie należałoby zastąpić kawalerii oddziałami pancernymi? Owszem, możnaby, ale tylko wtedy, gdy te oddziały będą mogły działać tak samo, jak kawaleria, tj. gdy nie zdoła im przeszkodzić ani noc i mgła, ani deszcz i śnieżyca, ani złe drogi, błota i zaspy śnieżne. Dopóki to nie nastąpi, kawaleria pozostanie zawsze jednym z głównych i niezastąpionym rodzajem broni.

Przy wykonywaniu swych zadań natrafi ona niezawodnie na duże trudności wobec szalonego rozwoju środków technicznych walki, takich, jak broń palna, jak gazy, czołgi, miny i lotnictwo bojowe. Ale nowoczesna kawaleria nie traktuje tych środków tylko jako przeciwników; przeciwnie ona sobie je przyswaja, zamienia na sprzymierzeńców, przy pomocy których wzmaga swoją ruchliwość i potęgę swego niespodziewanego uderzenia. W tym celu wprowadza do swoich szeregów i coraz liczniejsze karabiny maszynowe, i oddziały pionierów, oddziały do walki chemicznej, oddziały łączności, kolarzy, wreszcie działka przeciwpancerne i czołgi.

Przy całej tej modernizacji zaś kawaleria dba o zachowanie zaczepnego ducha bojowego. Bo ponad bezduszną materię, ponad maszynę i beton góruje człowiek, przepojony miłością Ojczyzny, przepełniony wiarą w siebie, powodowany ukochaniem swej broni.

A takim człowiekiem był, jest i będzie polski kawalerzysta! Bez względu na to, czy pędził w poszumie skrzydeł husarskich, czy cwałował wsłuchany w furkot proporczyków, czy uderzy na wroga, wypatrując go spod stalowego hełmu ułana, strzelca konnego i szwoleżera.

M. F.

Zdjęcie u góry: Szarża szwoleżerów na przedmieściach Wilna. Wielkanoc 1919 r. (Fragment obrazu Winterowskiego)
u dołu: Orkiestra w marszu.



(Rozmowa z pedlem, powstańcem Wielkopolskim w rocznicę...)

Niedaleko zegara tkwi jak zasuszona mumia chudy, w chudziźnie swej aż gotycki i przezroczysty, pedel.

Nie było chyba — jak szkoły szkołami — pedlów bez wąsów. Pedel bez wąsów — to upadek szkolnictwa, nieposzanowanie tradycji i zapowiedź kataklizmów historycznych.

Nasz pedel pełen jest moralnego dostojeństwa. Nikt nie widział go schylonego w ukłonie, nikt nie słyszał go wypowiadającego więcej niż sto zdań na dobę.

Opodal naszego gimnazjum rozciąga się plac, na którym w dniach uroczystych defiluje wojsko.

20 lat wolnej ojczyzny obchodziliśmy w gimnazjum radośnie. Mundurki odświętne zapełniły aulę. Od kołnierzyków i butów i blask słoneczny. Organy huczały, że aż tynk leciał ze ściany.

Nasz pedel na akademiach stoi zawsze u drzwi i ręce skrzyżuje „na Napoleona". („Naprzód, wiara, iść przytomnie, tylko wara płakać po mnie"...) Rzekłbyś: wiarus z „Warszawianki". Nasz pedel, ilekroć na estradę wchodzi młody zapaleniec i zaczyna serdecznie mówić o Polsce wypagadza chmurne oczy. Wtedy można je zobaczyć: są wyblakłoniebieskie. Aż dziwią: takie dziecięce oczy pod krzaczastymi brwiami!

Orkiestra szkolna gra hymn. Wstajemy wyprężeni. Nasz pedel jak struna. Gdy opuścił ręce — widać wstążeczki odznaczeń wojskowych na mundurze. Nigdy ich nie nosił. Dziś je przywdział. Na Dwudziestolecie!

P.W. z karabinami sposobi się do defilady. Obok harcerze. Za chwilę wychodzą.

Idę do ponapedlowego mieszkania. Z jego okien widać defiladę najlepiej. Pokoik mały, bo „pan Michał" (tak go tytułują świeżoupieczeni profesorowie) jest starym kawalerem.

Za oknem — piechota. Hełmy. Bagnety. Łaskot nóg okutych. Marsz upija żołnierzy i publiczność.

Pan Michał z radości śmieje się na głos. Sucho, nerwowo. I bębni palcami po parapecie.

Ułani! Na białych koniach. Dalej — na kasztanowych. Świecą się konie. Świecą się szable oficerów. Świecą się trąby w orkiestrze. I oczy ludziom się świecą.

— Ja — artyleria! — mówi pan Michał. Zdala — już ją słychać.

— Artyleria? — podchwytują niezdarnie — no, no — pan Michał artyleria?

— Tak, artyleria polna. Dużo by o tym gadać. — Wychylił się nasz pedel po pas z okna. I pieścił ucho łaskotem kół i kopyt. Oczyma gładził lufy lśniące.

— Choroba! — wykrzywiał głowę — choroba, psiakręć, co za fason! —

Nastała chwilowa przerwa w defiladzie. Pan Michał na moje usilne starania — rozgadał się.

— Tak to teraz wygląda. O, jakże inne były początki! Artylerii, gdyśmy zaczynali ruchawkę w Poznaniu, dwadzieścia lat temu, 27 grudnia 1918 r., kiedy to Stach Imbryczkowski... — wskazał wzrokiem na fotografię, — poległ, nie było. Jednak dzielny wice - wachmistrz spod Kościana, Kazimierz Nieżychowski mając... 4 ludzi stworzył polską artylerię polową — zaśmiał się pedel. — Było tak:

Podczas walk o miasto Poznań znalazły się dwie armaty polowe K. i H. 16 kal. 7,75, bez przyrządów celowniczych, z amunicją drewnianą. Stanęły one na postrach przed Bazarem. Nieżychowski nieśmiało zaproponował na zebraniu oficerów, czy nie warto by stworzyć artylerii. Przyjęto to jako dobry dowcip. Naczelna Rada Ludowa uważała to za prowokację Niemców. Ale Nieżychowski się nie zrażał. Wyłudził na ul. Solnej 4 pokoiki na drugim piętrze, kupił sobie brulion do ewidencji przyszłych artylerzystów i mianował się dowódcą artylerii. Metler, co poległ w lutym pod Szubinem i Nowak wyszli za jego radą tego wieczora na ulicę i zaczęli propagandę. Nazajutrz — w Nowy Rok „siły zbrojne" pana dowódcy liczyły już 40 chłopa. Tegoż dnia opierając się na fałszywym alarmie, że trzeba bronić dworca przed najazdem Niemców pobiegliśmy przed Bazar, zahaczyli armatę, i zapchali co sił w kierunku dworca. Wybiegł ordynans z Bazaru, w którym we frakach siedzieli różni wysocy panowie, że mamy się rozejść i oddać armatę. Ale nas już nie było! Zapchali my ją co tchu w piersiach do koszar i schowali pod słomę. Armata nie miała zamka, bo stojąc przed Bazarem narażona była na ustawiczne rozkradanie przez różnych amatorów, ale była początkiem naszej artylerii. Jeden ze starych kanonierów naszych — pamiętam — rozczulał się nad nią i ze łzami w oczach powtarzał: „Moja ty kochana polska armatko!..."

A co to było z wykradaniem koni i der dla ludzi, którzy spali tylko pod płaszczami — w styczniu! A ta wyprawa pod Biedrusko zarekwirowanym automobilem — po armaty! Pod osłoną nocy, tyłami do koszar 8 armat my przywieźli! 5 stycznia było nas już 600 luda. Już my w pole wyjeżdżali! Pół-baterią pod Nakło, dalej na wyprawę przeciw Niemcom na lotnisko Ławicę, i pod Zbąszyń i pod Szubin... Dzielny to był chłop ten Nieżychowski! Swoje robił, a nie sztafirował się! Na bankietach zaś potem, wydawanych na cześć twórcy Armii Wielkopolskiej, siedział na szarym końcu z byłymi wachmistrzami i feldfebellenantami. Ani się nie marszczył, gdy się niestworzonych rzeczy o cudzych bohaterstwach dowiadywał, trącał tylko towarzyszów doli butem pod stołem i pił zdrowie swych zastępców na polu chwały... Ale poco o tym dziś mówić? Nie dla siebie my wtedy robili — za myślił się stary — tylko...

Placem defiladowym w obłokach dymu przejeżdżały z trzaskiem tankietki.

— A wie pan, jak było z artylerią u nas w powstaniu wielkopolskim — przy końcu — 16 lutego?

— No?

Pedel podniósł palec w górę, zmarszczył brwi i rzekł:

— 3 pułki artylerii lekkiej i 2 pułki artylerii ciężkiej! To jest — panie — organizacja! Niemcy by się takiej sprawności od nas uczyć mogli! A w ogóle — to w pierwszych dniach było nas wszystkich powstańców razem coś do 2,000 bagnetów! 10 stycznia — około 12 tysięcy. Potem już poszło na całą Wielkopolskę. Na 16 lutego, na rozejm trewirski — jak obliczają było nas już około 30 tysięcy chłopa! A gdy łączono armię wielkopolską z formacjami innych dzielnic dali my 90 tysięcy ludzi! To nie jest byle-co! — nasrożył wąsy pan Michał.

— A jak pan Michał się bił? — zapytałem nieśmiało.

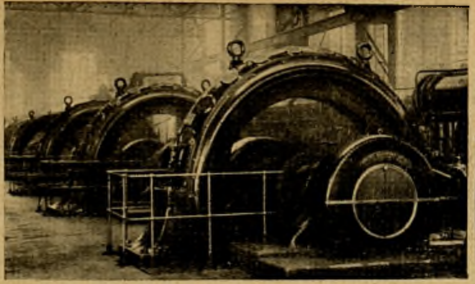
Pedel trzepnął się po wstążkach. I — o dziwo! — ten małomówny, dostojny, skromny — ucieszył się moją ciekawością.

— Co tu wiele gadać — rzekł. Powiem tylko jedno: jak kropnął mój kamrat na Ławicy w Niemiaszków oberleutnant Fischer krzyknął: „Ich denke gar nicht daran mich zu ergeben", gdy po chwili kropnąłem ja i tynk poleciał Tischerowi na głowę, krzyknął: „Um Gotes - willen, Artillerie habt ihr auch, wir wollen keinen Krieg, wir ergeben uns!"...

Za oknami — grali marsza generalskiego. Przyjrzałem się bystrzej naszemu pedlowi: wyglądał jak trzech generałów napoleońskich...

Tadeusz Nowakowski

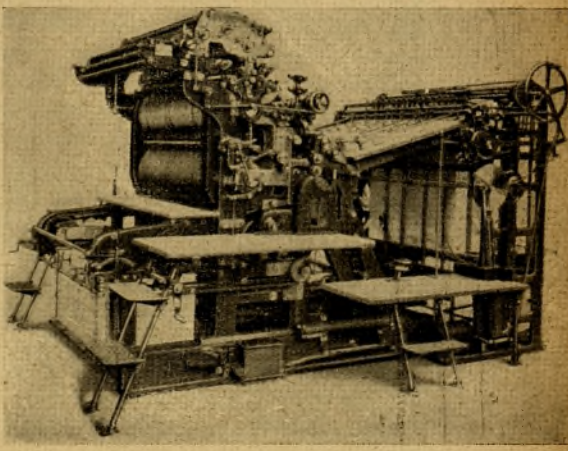
Bydgoszcz



PIĘKNO MASZYN

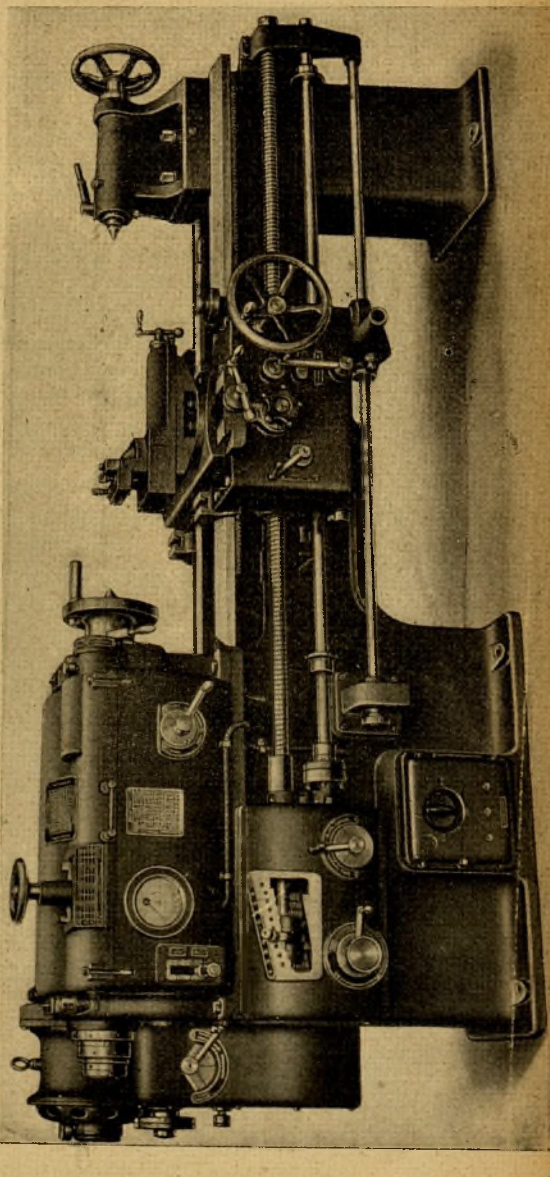


XX wiek nie tylko stworzył zupełnie inne warunki życia i pracy, lecz także obalił prawa i zasady, uświęcone wiekami cywilizacji ludzkości. Wypaczył kanony dźwigające na sobie piętno tradycji stuleci minionych. Nie oszczędził niczego: — ani religii, ani prawa, ani człowieka samego nawet. Skutkiem tego nie tylko mówimy dziś językiem okrąglejszym, bez wyrażeń obecnie archaizmami nazywamy, ale i myślimy prościej i jaśniej. Ta właśnie radykalna zmiana poglądów uwydatnia się zwłaszcza w dziedzinie estetyki...



Zanim jednak przejdziemy do przykładów, musimy sformułować w ogólności prawo, na mocy którego świadomie i podświadomie zdajemy sobie sprawę, że oglądany przedmiot jest piękny i że się nam skutkiem tego podoba.

Otóż każdy przedmiot podlegający krytyce estetycznej, składa się zazwyczaj z dwu zasadniczych elementów: konstrukcyjnego i zdobniczego, który nie jest konieczny dla samego istnienia tego przedmiotu. Na ogół nie zastanawiamy się, który z tych dwu pierwiastków przychodzi do głosu, wzbudzając w nas stan upodobania estetycznego. Jednak w pogoni za pięknem idealnym, dostępnym naszym zmysłom, znajdujemy je w naturze. — Analizujemy kolejno fazy odczuwania tego naturalnego piękna!... Na czym ono polega? — Rychło z pomocą przychodzi nam nauka, która tłómaczy że przepyszne ubarwienie skrzydeł motylich — przedmiot naszego podziwu i zachwytu, to nic innego tylko zgrupowanie pewnych nam ludziom nieznanych zmysłów. Śliczne linie jaskółek, to linie opływowe, dla zmniejszenia oporu powietrza na korzyść szybkości. Tak samo ryby, dzięki swym wrzecionowym kształtom, szybko przemierzają wodne przestworza, a dzięki barwie unikają nieprzyjaciół zarówno z góry jak i z dołu. A wspaniałe barwy, kształty i wonie kwiatów nęcą owady pragnieniem nektaru. Owad siada na kwiecie, trąca pręciki i zapyla słupek. Wykonuje czynność konieczną do życia i rozwoju rośliny.



Pomyślmy. — Co nam się tu podoba? Czy element zdobniczy wchodzi w grę? — Nie! — Wszystkie narządy i właściwości służą określonym czynnościom. Ich istnienie zostało przed wiekami przewidziane przez „Wielkiego Budowniczego" świata. Są celowe. A u człowieka? — Nos — „ozdoba twarzy" jest ważnym zmysłem. Oczy — niezbędnym narządem... Co za celowość, będąca cechą niedościgłej konstrukcji!

Czy więc słuszne jest mniemanie że maszyny, jako twory zbyt daleko odbiegają od stylów historycznych i ich usymbolizowanego piękna, należy wyłączyć z dziedziny piękna! Więc nie! Bo **same przez celowość swej konstrukcji są piękne.** Są piękne tym, że nie ma w nich ani jednego kawałka materiału niepotrzebnego, że każda śruba, każde koło od najmniejszego do największego służy jakiejś czynności, że każdy niemal fragment maszyny uwidacznia zarówno czynności narzucone im przez twórcę, jak i środowisko będące ich żywiołem.

Jeśli chodzi o syntetyczne ujęcie sprawy, to **piękno maszyn jest najbliższe piękna przyrody, właśnie przez swą celowość.** Maszyna jest tworem czystej konstrukcji, przemyślanej w najdrobniejszych szczegółach, tworem poza naturą niedościgłym w swej zwartości, tworem skończenie oryginalnym i doskonale nowoczesnym.

Jakże brzydkie w tej perspektywie są dzieła gustu zeszłowiecznego, — kiedy konstruktor budując maszynę, a więc jak powiedziano twór skrajnie celowy i użyteczny i mniemając, że celowość jest uchybieniem przeciw estetyce, dekorował np. podstawę bujną roślinnością dżungli afrykańskiej: kwiatami lotosu i powojami. W winnych gronach ukrywał koła zębate. Często na tym wszystkim zielone jaszczurki usadzał, a całość koronował ptakiem...

Zechciejmy zauważyć tylko, ile więcej podobieństwa jest we współczesnym sterowcu czy łodzi podwodnej do ryby, aniżeli w „umeblowanej" ukwieconymi maszynami hali fabrycznej, do dziewiczego lasu. Jakże samolot żywo przywodzi na myśl jakiegoś ptaka lub owada, a pędzący pociąg pośpieszny, długą jaszczurkę, zgrabnie lawirującą między nierównościami terenu, swymi kręgami — wagonami pullmanowskimi. A jak majestatycznie wygląda okręt wpływający do portu. — Spójrzmy na wielkie miasto fabryczne. Jaka harmonia gry żelaza. — To nie wrzaskliwy jazz - band sztucznej orkiestry, to dostojny hymn lasów kominowych i ciemnych jaskiń hal fabrycznych, w których maszyny - potwory, jak myślące istoty, poważnie i dokładnie spełniają powierzone im funkcje, będące koniecznością ich żelaznego życia. **A. Sofij.**

(Gimn. im. Goszczyńskiego, Nowy Targ)

POWRÓT

Fragment z powieści pt. „Maszerować!...”

P. Gustaw Morcinek przygotowuje do druku nową powieść, osnutą na tle przywrócenia Polsce Zaolzia. Na prośbę Redakcji autor przesłał do druku fragment powieści, związany ze śmiercią Witolda Regera.

Redakcja

Karol Bogacz patrzył na to wszystko jak odurzony. Widzi stąd nie tylko cieszyńskie ulice, sztandary, szare pogłowie ludzkie, stada gołębi klaskających w skrzydła nad miastem, lecz widzi również dalekie Beskidy. Beskidy są dzisiaj zasnute niebieską mgłą. Tamten najwyższy szczyt, to chyba Jaworowy. Tak, to Jaworowy!...

Przypomniał mu się rudy księżyc nad Jaworowym. Księżyc zakrył sobą całe niebo i pękł z hukiem. Co się potem działo, trudno wiedzieć. Jak już temu dawno!... To było we czwartek w nocy. A dzisiaj jest niedziela. Nie wie, kto go wyniósł z zasieków, kto go zaniósł do góralskiej chałupy. Ocknął się na białym łóżku w niskiej izbie bielonej. Nad głową paliła się czerwona lampka oliwna przed świętym obrazem. W izbie był półmrok i zapach zleżałych jabłek. W boku piekła go rana.

Przechylił wtedy głowę i dostrzegł przy piecu jakiegoś pana w białym kitlu, jakiegoś oficera i starego górala o zmiętej twarzy. Pan w białym kitlu mył ręce w miednicy.

— Gdzie jestem? — zawołał.

Tamci trzej odwrócili się, przyszli do jego łóżka. Nachylili się nad nim.

— A nie mówiłem! — rzekł pan w białym kitlu i pogłaskał swoją kozią bródkę. Był widocznie bardzo zadowolony.

— Chwała też Panu Bogu! — westchnął góral, a jego zmarszczona twarz rozjaśniła się w uśmiechu. — A myślałem, panie doktorze, że uświerknie!...

— Nie uświerknie, nie! — roześmiał się pan w białym kitlu, nazwany doktorem. — No, jak myślisz, gdzie jesteś?— zwrócił się do chłopca.

Chłopiec rozejrzał się z wysiłkiem po izbie. Widzi białe ściany, na ścianach rząd kolorowych obrazów z wizerunkami świętych, za obrazami pęczki suchego ziela, a przez okna przegląda błękitnawy świat górski.

— U górala w Istebnej... Chyba u górala któregoś... — rzekł chłopiec z namysłem.

— A pewnie, że u górala. U starego Legierskiego. A ty myślałeś może, że w królewskim zamku?...

— Nie!

— No, widzisz! Byłeś bąku w opałach! Szpetnie ci Czesi dogodzili!

Czesi?

— A co myślisz? Może Turcy? A gdzie się tam pchałeś? Pod karabin maszynowy! Świat to widział. Zamiast w domu siedzieć i dzieci kołysać lub ziemniaki obierać!... Zrobili ci dziurę w boku, lecz już wszystko w porządku. Trochę sobie poleżysz i będziesz zdrowy jak młody koń... A jak się nazywasz?

— Karol Bogacz... Z Karwiny...

— Hm, hm... To ty jesteś z oddziału harcmistrza Regera?

Karola kolnęła bolesna myśl. Przypomina sobie, że przecież widział, jak druch Reger uciekał z nim, jak się potknął i pozostał leżący nieruchomo na ziemi.

— A gdzie Witek? — zapytał.

— Jaki Witek?

— Druh harcmistrz Witold Reger...

Nastała cisza w izbie. Góral westchnął i pokiwał głową. Oficer spojrzał na lekarza, lekarz na oficera.

— Gdzie druh Reger? On mnie wynosił na plecach...

— Hm, trudno!... Nie wiemy. Pozostał po tamtej stronie. Albo ranny albo.

— ... zabity? — zawołał Karol przerażony.

— No, kto tu mówi, że zabity? Nie wiemy. Lecz w najlepszym wypadku leży teraz ranny w jakimś szpitalu czeskim... Bo tam został... Chciano go wynieść, lecz już było za późno. Może teraz leży ranny w szpitalu czeskim...

— Jeżeli go Czesi nie dobili — mruknął góral ponuro. — My ich dobrze znamy, ho, ho!...

— Eh, nie plećcie, nie! — ofuknął go oficer.

— Ha, nie plećcie!... Pan kapitan nie wie! A jak było w Stonawie podczas najazdu czeskiego w roku 1919? Hę?...

Karol słucha i słucha, a powoli uświadamia sobie z przerażeniem, że już pewnie nie ma Regera. Że poległ w tamtej przeprawie przez zasieki.

— Jezus! Maryjo! — szepce struchlały.

— Ale idź, idź, nie becz, stary koniu! — uspokaja go lekarz z kozią bródką. — A leż spokojnie, bo będzie źle!... Nie becz!...

— A ci drudzy? — wykrztusił głosem przerywanym szlochem.

— Ci drudzy wszyscy wrócili. Tyś tylko trochę pokiereszowany, a Reger tam został. Lecz śpij już. Gdy odpoczniesz, przewieziemy cię do szpitala w Cieszynie.

Karol Bogacz leżał przez cały dzień w chałupie Legierskiego. Poszedł lekarz z kozią bródką, poszedł oficer, został tylko stary Legierski i jego żona, gruba góralka. Potem jeszcze przyszedł sanitariusz wojskowy i grał w karty z Legierskim. A co jedną partię skończyli, podchodzili obydwaj do niego i pytali się, czy czego nie potrzebuje. Legierska zaś poprawiała mu poduszki i poiła gorącym mlekiem.

— Pij, moja duszyczko, pij! — zachęcała go dobrotliwie.

Karol pił, a potem popadał w niespokojny sen. Ocykał się co chwila i jak przez mgłę widział Legierskiego i sanitariusza, siedzących za stołem przy oknie i walących kartami o stół. Potem znowu zasypiał.

Przebudził się, gdy wyczuł na zamkniętych powiekach ciepłe dotknięcie. Podniósł je i zatrzepotał rzęsami. W oczy świeciło mu słońce. Leżało na jego piersiach i na twarzy złocistym prostokątym. Karol przechylił głowę i spojrzał w kierunku okna. Zdumiał się bardzo. Oto w słońcu czerni się znajomy szczyt Stożka, a między Stożkiem a oknem, w obłej dolinie dostrzega polskie wojsko. Konnica przemyka chyłkiem pod lasem i tonie w nim. Tam znowu wlecze się zagajnikami jakiś samochód czy czołg. Za nim drugi, trzeci... O, jak ich dużo!... Przesunęły się przez łąkę i również zniknęły w lesie. To chyba czołgi... A tuż za oknem na drodze tyle żołnierzy... Śmieją się głośno, czyszczą karabiny, palą papierosy, a koło nich wielkie gromady dzieci...

— Gazdo!... Gazdo! — zawołał na Legierskiego.

Góral już teraz nie grał w karty. Dłubał coś kozikiem w desce. Odłożył kozik, odłożył deskę i podszedł do chłopca.

— Już się obudziłeś? — zapytał.

— Gazdo, to nasze wojsko?

— A pewnie, że nasze!...

— Lecz wczoraj go tu nie było...

— A nie było. Dzisiaj rano przyszło...

— To będzie wojna z Czechami?

— A tak się zanosi! Czesi tam naszych mordują, nasi się bronią, o posłuchaj!...

Karol wytężył słuch. Poprzez gwar dzieci i żołnierzy dochodziło miarowe szczekanie karabinów maszynowych.

— Słyszysz? To tam jest batalia... To Czesi biją się z powstańcami...

— A kiedy nasze wojska pójdą z pomocą?

— Jak będzie czas!... Tego nawet nie wie ani pan kapitan. Wiesz, ten co tu był rano u nas... No, śpij, bo pan doktor Raszyk zakazał mi z tobą rozmawiać.

— Czemu?

— Bo masz dziurę w brzuchu!...

— W boku! — poprawił go Karol.

— W brzuchu czy w boku, to wszystko jedno. Przez taką dziurę może zawsze duszyczka ulecieć do nieba!... No, śpij!... A w nocy odwiezą cię do Cieszyna...

— Czemu w nocy?

— Bo teraz nie można. Wszystkie samochody są pokryte w lasach... Bo czeski samolot już tu latał nad Istebną... Beskurcja chciał wiedzieć, czy tu jest wojsko. Lecz nic nie zobaczył!... A śpij już!...

— A jest dużo wojska?

— Ho, ho!... Ale śpij, bo się pogniewam!...

Nastała cisza w izbie. Stary zegar kołysał wahadłem i tykał głośno, słońce staczało się już za Stożek, a na niebie płonęły drobne chmury. Karol patrzył tak długo na nie, aż zgasły.

O zmroku zajechał samochód sanitarny. Karol myślał, że nie potrafi wstać, a tymczasem nie tylko wstał, lecz oparty o ramię sanitariusza poszedł do samochodu. Położył się na materacu, stary Legierski owinął go kocem, motor zawarczał, sanitariusz usiadł obok niego i samochód ruszył. Samochód jechał powoli, bo miał światło przyćmione, o niebieskim blasku.

— Dlaczego takie przyćmione światła? — zapytał sanitariusza.

— To tak musi być.

— A jakie tu są wojska?

— Nie wiem!

— Widziałem przez okno konnicę i czołgi pod lasem!

— Ja nic nie widziałem! — mruczał sanitariusz.

Karol Bogacz połapał się, że sanitariusz nic nie powie, bo ma zakazane.

— Czy wszyscy żołnierze mają zakazane mówić o wojsku?

— Wszyscy.

— A dlaczego?

— Niemądryś!... Mogą być szpiedzy...

Karola ukłuło tamto słowa. Przypomniał sobie rozmowę z Regerem u Gatnara. Reger też z początku mu nie dowierzał, może posądzał go, że przyszedł szpiegować...

— A co z druhem Regerem? Już są jakie wiadomości?

— Ja nic nie wiem...

Samochód spadał w doliny, wynosił z warkotem na wzgórza, a kiedy już dotarł na Kubalonkę, zwolnił biegu. Karol wychylił głowę z samochodu i dojrzał nieprzerwany sznur niebieskich świateł, sunących powoli od Wisły. Światła były podobne do wybałuszonych ślepi jakichś potworów. Wiedział, że to samochody pancerne i czołgi. Światła zbliżały się, a równocześnie rósł szum motorów, a ziemia dygotała. Potem jęły się przewalać koło samochodu sanitarnego, ciężkie, dudniące, grozą przejmujące. Czarne kadłuby czołgały się drogą, tajemnicze, szczekające żelaziwem,, waliły w mroki nocy, sunęły nieprzerwaną smugą niebieskich świateł, ponure i niesamowite w swej potędze.

— Jadą! jadą — powtarzał wzruszony chłopiec. — To wszystko na mój Śląsk, by go bronić!...

— Długo będę chorował? — zapytał sanitariusza.

— Hm, nie wiem. Trochę sobie poleżysz. Dlaczego się pytasz?

— Bo jeżeli będzie wojna, chciałbym pójść!

— Phi! — fuknął pogardliwie sanitariusz. — Tylko byś przeszkadzał!

Karol obraził się i już teraz nic nie mówił. Samochód jechał powoli, zatrzymywał się często, przepuszczał czołgi zatarasowaną drogą, potem znów biegł truchcikiem, mijał oddziały wojska, mijał konnicę, w końcu zatrzymał się pod Ustroniem, bo drogą ciągnęły olbrzymie armaty. Wlokły je małe tankietki, armaty zaś toczyły się powoli, statecznie, podobne do żywych stworów o długich szyjach.

Karol odsunął tamte wspomnienia, westchnął z ulgą, obejrzał się. Ulice wciąż kłębiły się tłumami, dzwony wciąż dzwoniły, a w perspektywie stromej ulicy Legionów dostrzegł znajome już sobie kształty armat i czołgów. Czekały na rozkaz, by ruszyć za Olzę.

— Kiedy zaczną maszerować? — zapytał siostry Zosi.

— Nie wiem, synku.

— Siostrzyczko, a czy jutro będę mógł pojechać na pogrzeb?

— Czyj pogrzeb?

— Przecież siostra wie. Druha Regera!...

— Pojedziemy!

Karlik teraz przypomina sobie tę chwilę, gdy dowiedział się o śmierci Regera. Było to wczoraj po południu. Może koło godziny drugiej. Dyrektor Kubisz już przeszedł wszystkie pawilony, siostra Zosia krzątała się w sali operacyjnej i czyściła narzędzia chirurgiczne, a szpitalny sanitariusz Heczko stał przy oknie na korzytarzy i czytał gazetę. Cisza była w szpitalu. Znienacka trzasnęły drzwi na korytarzu, ktoś wpadł z impetem do sali operacyjnej i zawołał:

— Siostrzyczko!... Czesi przyjęli polską notę!... Oddają nam po dobroci Śląsk za Olzą. Jutro wkraczają wojska za Olzę!... W tej chwili radio głosi to...

Co się potem działo, trudno sobie uprzytomnić. Chorzy wyłazili z łóżek, kusztykali na korytarz, wołali coś ogromnie uradowani, a sanitariusz Heczko pobiegł po swego kolegę Smolanę i zaczęli się ściskać i całować na korytarzu. Siostra Zosia zaś, trzymając w dygocących dłoniach jakieś szczypce chirurgiczne, powtarzała:

— Chwała Panu Bogu!... Chwała Panu Bogu!... — a łzy toczyły się jej po twarzy i spadały na złożone dłonie i na szczypce.

Karlik już nie pamięta, co przeżywał. Tyle tylko wie, że ogromna radość ogarnęła go do ostatka, że cały świat rozbłękitniał mu w tej chwili, że zawirował mu tęczą w oczach, a serce, to głupiutkie serce poderwało się gwałtownie, zatrzepotało w piersiach, a jakiś dziwny a radosny skurcz ułapił go za gardło.

Cały pawilon zdawał się szaleć. Chorzy tańczyli niezdarnie po korytarzu, krzyczeli coś, wydzierali się do miasta, wszystkie siostry zaś na przemian płakały i zapędzały chorych do łóżek, a sanitariusz Smolana wołał, że gwiżdże na szpital, że musi teraz iść nad Olzę, by widzieć Czechów jak narzekają i włosy rwą z głowy.

Potem jeszcze przybiegł zdyszany dyrektor Kubisz.

— Czy już wiecie? Czy już wiecie? — wołał do wszystkich, a potem zawrócił i pobiegł do innych pawilonów.

Z ulic leciały radosne wołania i krzyki, ktoś przeraźliwie trąbił na trąbce strażackiej, dzieci piszczały i wołały: — Niech żyje!... a z kamienic opadały długie chorągwie i kołysały się na wietrze.

Potem przybiegł sanitariusz Smolana z miasta. Robił wrażenie pijanego. Śpiewał, podskakiwał, obłapiał za szyje pacjnetów, obiecywał wszystkim wino na jutrzejszy obiad, a potem opowiadał z przejęciem, jak ulice cieszyńskie wzbierają tłumami, jak te tłumy gromadzą się przed mostem nad Olzą, jak Czesi stoją zdumieni po drugiej stronie Olzy i patrzą na polską stronę, nie wiedząc co to znaczy, jak kilku robotników wyrwało z ziemi graniczny słup i teraz chodzą z nim w triumfie po rynku, jak ludzie krzyczą, ściskają się, całują!...

— Mówię wam, ludeczkowie złoci! — wołał. — Cały Cieszyn pijany z radości!... Siostrzyczko, proszę mnie zastąpić, bo ja znów lecę!... — i pognał z powrotem do miasta.

A gdy po godzinie wrócił, wciąż jeszcze podniecony i wzruszony, otoczyli go wszyscy pacjenci, siostry i lekarze, a on opowiadał z przejęciem, co się dzieje w mieście. W pewnej jednak chwili stuknął się palcem w czoło, spochmurniał i rzekł ponuro:

— A czy wiecie, że Witold Reger jednak zginął?... Dzisiaj wieczorem Czesi wydadzą nam jego ciało!... W poniedziałek będzie pogrzeb!...

Karolowi pociemniało w oczach. Już nie słyszy radosnych wołań, nie słyszy dzwonów cieszyńskich, widzi tylko druha Witka, jak schyla się nad nim, jak go zarzuca sobie na plecy, jak go niesie, a tamci strzelają. Potem zwalają się obydwaj. Witek leży nieruchomo, a jego porywają jakieś mocne ręce i wloką przez zasieki... A Witek leży nieruchomy...

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

NA DRODZE DO SIŁY PAŃSTWA.

W ostatnich dniach listopada nastąpiło w Warszawie uroczyste otwarcie dorocznej zwyczajnej sesji nowowybranego Sejmu i Senatu. Jak zawsze — głównym tematem rozpoczętych obrad jest uchwalenie budżetu państwowego na następny, 1939/40, rok. Izby ustawodawcze, podzielone na komisje, odpowiadające w zasadzie podziałowi władzy wykonawczej na ministerstwa, przedyskutowują projekt złożony przez Rząd, dokonują poprawek i zmian i wreszcie, w końcu marca, uchwalają budżet w w formie Ustawy Skarbowej, w ramach której Rząd prowadzi gospodarkę państwową. Przy okazji dyskusyj budżetowych ma miejsce zazwyczaj ożywiona wymiana zdań na tematy polityczne, gdyż sposób prowadzenia polityki w państwie jest ściśle zależny od funduszów, jakie na poszczególne cele się przeznacza.



Z posiedzenia Izby Parlamentarnej

Od paru lat zainteresowanie sprawami gospodarczymi w Polsce wzrosło. Powodem tego jest coraz powszechniejsze przekonanie, że dziedzina gospodarcza jest w naszym kraju jedną z najbardziej zaniedbanych, oraz — że od należytego rozbudowania gospodarstwa narodowego zależna jest w większym, niż od czegokolwiek, stopniu siła obronna Państwa. To też nic dziwnego, że społeczeństwo nasze oczekiwało z wielkim zainteresowaniem przemówienia wicepremiera i ministra Skarbu Kwiatkowskiego, który przedłożył Izbie projekt nowej Ustawy Skarbowej. Projektowany budżet jest zrównoważony tj. Rząd przewiduje, iż będzie mógł pokryć wszystkie wydatki w drodze normalnych dochodów. Więcej nawet — przewidziana jest nadwyżka 32 tys. zł. (dochody — 2.523.173.000, wydatki — 2.523.141.000). W porównaniu z rokiem bieżącym wydatki zostały zwiększone o 48 milionów złotych, przyczem — co należy podkreślić — część tej sumy ma być zużyta na podniesienie oświaty.

Skoro już mowa o gospodarce państwowej, nie można pominąć tak doniosłego faktu jak przedłożenie Izbom przez p. wicepremiera nowego planu inwestycyjnego na okres najbliższych trzech lat. Konieczność planowania w życiu gospodarczym jest systemem powszechnie już uznanym. Szczególnie jednak wtedy, gdy w grę wchodzą inwestycje, związane z podniesieniem obronności państwa — jest ona niezbędna.

Wynik powyższego systemu możemy zaobserwować już teraz — na nim bowiem wyrósł cały C. O, P., a również zagranicą daje on doskonałe wyniki.

Nasz nowy plan inwestycyjny przewiduje w ciągu najbliższych trzech lat (poza wydatkami, objętymi budżetem) wydatkowanie na Obronę Narodową zł. 1.200 mil., na inwestycje zaś zł. 800 mil., Trzeba tu jednak zaznaczyć, że prawdopodobnie wydatki na obronę obejmą również w dużej części inwestycje, będą one jednak ściśle związane z produkcją wojenną.

ŻMIANY PRAWA PRASOWEGO.

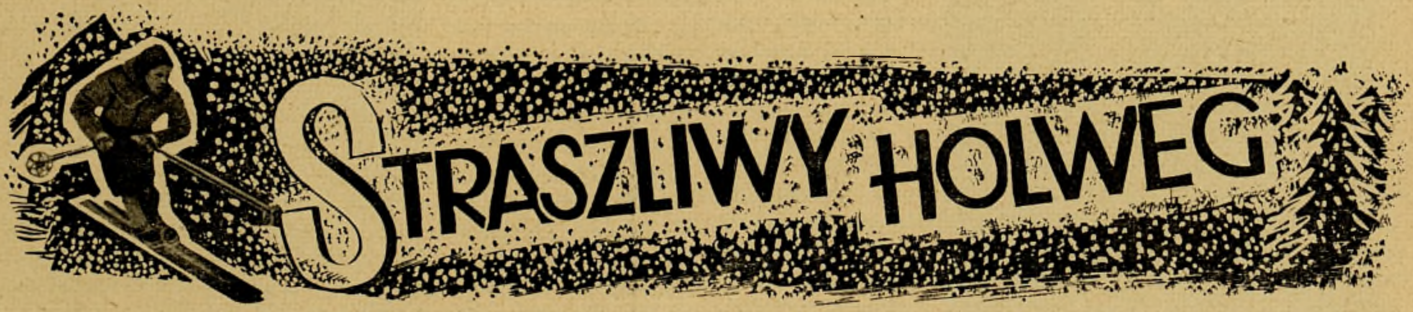
naprawę. W tym celu wydanych zostało szereg dekretów, prasowe. Dotychczas bowiem obowiązujące prawo było w różnych dzielnicach różne. Scalenia domagał się rzeczywistość polska, która w okresie 20 lat niepodległości dyktuje nam ciągle potrzebę załatwiania najistotniejszych problemów.

STRAJK ZŁAMANY.

Francuski premier Daladier, jednocześnie — o czym pisaliśmy poprzednio — przywódca partii radykałów, wypowiedział wojnę skrajnej lewicy, widząc w jej postępowaniu zaporę do podniesienia siły i znaczenia Francji. Ponieważ najbardziej nadwyrężoną została w ciągu ostatnich paru lat gospodarcza strona życia francuskiego — od niej przeto zaczął naprawdę. W tym celu wydanych zostało szereg dekretów, które mając na celu przede wszystkim wzmożenie produkcji kraju, z natury rzeczy ograniczyły do pewnego stopnia nadmierne, jak na obecne możliwości, przywileje robotników. W odpowiedzi na powyższe dekrety komuniści zapowiedzieli strajk powszechny, który miał się odbyć 31 ub.m. Daladier jednak, zdecydowany na konsekwentne przeprowadzenie swych zamierzeń za pomocą wszelkich, choćby najostrzejszych środków uniemożliwił przeprowadzenie strajku. Miał on być powszechny z.j. strajkować mieli wszyscy robotnicy Francji. W krytycznym dniu zostali oni jednak zmuszeni do opuszczenia zakładów, które okupowali, niektóre zaś z nich, najważniejsze, obsadzone zostały przez wojsko i puszczone w ruch. Strajk został przełamany, Daladier dowiódł, że wszechwładna dotychczas skrajna lewica nie ma za sobą siły decydującej i nie jest zdolna do oparcia się rządowi.

Teraz wykonanie ciężkich wprawdzie, ale koniecznych zarządzeń gospodarczych, nie napotka na większe trudności. Produkcja Francji, szczególnie wojenna, będzie mogła być wzmożona i przywrócona do należytego poziomu.

St. Leo.



Wyprawa harcerskiego kursu podharcmistrzowskiego z Zakopanego do doliny „Pięciu Stawów" żyje trwale w pamięci jej uczestników, oraz tych, którzy o niej cokolwiek słyszeli...

...Z początku niby szło wszystko dobrze: do doliny Rostoki dotarły poszczególne zastępy, nie koniecznie według zgóry oznaczonej na mapie drogi, posiłkując się raczej prosto do celu wiodącą szosą. — Bo po co wywoływać wilka z lasu i, korzystając z uwidocznionych na mapie „skrótów" drogi, błądzić następnie po wykrotach leśnych — w poszukiwaniu szosy? I tak, dzięki specjalnym „zdolnościom" niektórych członków wyprawy, potrafili oni zgubić się na prostej wstędze szosy... bywa...



Ale już w schronisku w Rostoce wszyscy byli w dobrym nastroju, 21 km dzielące Zakopane od Rostoki pokonali w mniej lub więcej imponującym stylu. Te marne 6 km pozostające do „odrobienia", to fraszka. — A w „Pięciu Stawach" ponoć pięknie, słonecznie i — iglowato... Brzmienie słowa „igloo" kojarzyli wszyscy ze srogą postacią kierownika zimowego obozu doświadczalnego w dolinie „5-ciu Stawów", harcmistrzem Makowskim, oraz z obandażowanymi kończynami jego podwładnych, częściowo niezdolnych narazie „do użytku", a zjawiających się czasami w kwaterze kursu w Zakopanym.

Gdy jednak zabrzmiało hasło do dalszej drogi, „otornistrzone" postacie raźno wyległy na śnieg, przypinając uskrzydlające nogi deski. Nie na długo... — Tuż za schroniskiem droga wyprawy poczęła niepokojąco stromo piąć się pod górę. Wąska ścieżka, uciekająca ku niebiosom wśród wysokich, ośnieżonych pni leśnych drzew, nie nastrajała optymistycznie. Ktoś z grupy skarży się na ból nogi i ku zazdrości towarzyszy zdejmuje narty i — bierze je na plecy. Instruktor, widząc zaniepokojenie, tłumaczy uspakajająco, że ...po tej ścieżce niektórzy nawet zjeżdżają... Nastaje cisza, taka złowróżbna, przed burzą: i tylko powoli zwiększa się liczba czujących „ból" w nodze.

Ponieważ jednak wszystko się kończy na tym świecie, kończy się też paskudne podejście... — by otworzyć jeszcze straszniejsze horyzonty Okropna ścieżka, zwana niewinnie „holwegiem", ucieka w przerażającą dal, ziejącą tajemną głębią. Holweg taki ma to do siebie, że pędzi się nim w dół nie wiedząc, co może człowieka spotkać za pierwszym lepszym zakrętem.

W grupie zaponowało denerwujące milczenie, jakby wyczekiwanie

czegoś, co się ma za chwilę stać. Już się stało! Ktoś nieostrożny, czy szalony, pędzi w dół na złamanie karku i nart... Deski prowadzi szeroko, płuży, chcąc zmniejszyć szybkość — marzyciel! Za chwilę dosięgnie zakrętu i tyle go **będzie widać**. Tak, jak gdyby pragnął holendrować na łyżwach, przechyla się na bok, bierze ostry wiraż, jedzie nawet na jednej nodze...— zniknął za zakrętem, tylko jakiś podejrzany trzask doszedł z oddali grupę na górze. Teraz zaczynają się dziać rzeczy makabryczne: w regularnych odstępach czasu odklejają się od wierzchołka ścieżki postacie narciarzy, pędząc w ziejące głębokością otchłań odrzewionego holwegu.



I tylko w regularnych odstępach czasu słychać w oddali podejrzane trzaski i łoskoty... Pędzące w dół ścieżki postacie stosują wszelkie dozwolone i niedozwolone środki zjazdowej techniki narciarskiej, by tylko zmniejszyć szaleńczy pęd zwariowanych desek, i — odsunąć ponurą wizję, związaną z tajemniczym, odległym łoskotem. Oto po pochyłości mknie skulony narciarz: garb ogromny, wydający niesamowite dźwięki przytłacza mu plecy. Biedak wiezie kocioł. Gdyby wiedział, co go z tego powodu czeka, wolałby przez tydzień wyrzec się jedzenia... Rozpaczliwie orze śnieg kijkiem narciarskim myśląc, że może powstrzyma diabelski wehikuł, nartami zwany. Tylko głos potężny, do rozbitego dzwonu podobny, łączy się z odległym trzaskiem i łoskotem...

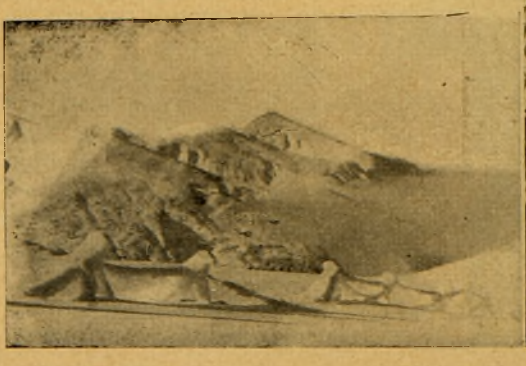
Już mknie inna postać: — potężny korpus narciarza, daremnie szamoczącego się z unoszącymi go deskami zwiększa szybkość pędzącej wdół masy. Narciarz w rozpaczy siada na ...narty, zdając się na ich łaskę, podrzucany tylko niekiedy przez wystające karcze i kamienie. Tym razem łoskot i trzask słychać nieco wcześniej. Jeden ze szczęśliwców, którzy zdążyli zdjąć narty, zbiega na dół i — dębieje. — Za zakrętem był zjazd i nowy zakręt i nowy zjazd — ale to już mniej ważne, bo i tak nikt tam nie dojechał. Zakręt drugi, dla przekazania potomnym, nazwany został „zakrętem śmierci", gdyż wiele par nart swój szaleńczy żywot tam skończyło. Na ścieżce i w jej najbliższej okolicy „porozkładane" były mniej, lub więcej groźne „trupy". Jeden z nich doznał nawet złamania kości policzkowej a krew z nosa drugiego skalała śnieżno biały pień stojącego mu na drodze drzewa. Narciarz z kotłem leżał w bok od ścieżki, zaryty głową w głębokim śniegu. Kocioł stał się dlań alegorycznym grobem, z którego uwolniła go dopiero pomoc wiernych przyjaciół. Pan o potężnym kadłubie obejmował czule pień drzewa, które zahamowawało jego szaleńczy pęd. Tylko narty, po zetknięciu z twardą przeszkodą można było zbierać łyżeczką, od dziobów do żelaznych szczęk.

Ktoby jednak myślał, że po tak tragicznym początku ślepy strach ogarnął wyprawę, lub, że jej uczestnicy resztę rozpoczętej drogi przebyli pieszo — myliłby się kapitalnie. Taki już to zwariowany naród ci harcerze, że przeciwności losu tylko pobudzają ich ambicje. Gość ze złamaną szczęką został opatrzony na miejscu i odstawiony do schroniska, reszta zaś skompletowała między sobą połamane narty i — hajda w drogę! Gdy po pewnym czasie znowu ukazała się przepaść holwegu, nauczone doświadczeniem bractwo brało przeszkody z buńczuczną miną, rwanymi, szarpanymi i lotnymi chrystianiami mijając groźne zakręty, dla pewności jednak już w górze hamując czym się dało... Nim słońce, rzucając ostatnie swe promienie na zamarzniętą Siklawę, zeszusowało za Zamarłą Turnię, długi wąż zmęczonych, lecz zadowolonych z siebie postaci dobrnął do ukrytego w dolinie „Pięciu Stawów" schroniska. A tak byli pewni siebie i swoich sił, że nie przestraszył ich nawet widok białych, podobnych do grobów „igloo"; — gorzej jeszcze, paru zdeterminowanych młodzieńców zgłosiło gotowość przespania się w katakumbach śnieżnych domków. A że szaleńcom szczęście sprzyja, mimo to dożyli dnia następnego — sic!

Jan Żdżarski













Solski Wielki Aktor



Solski jako Judasz
w dramacie Rostworowskiego



Solski jako Chudogęba
w „Wieczorze Trzech Króli"

Dyrektor Solski na gościnnych wypach „Skąpca" w Łodzi.

Poszedłem do teatru, żeby przeprowadzić rozmowę i podzielić się jej treścią z czytelnikami Młodego Nurtu.

Za kulisami siedzi grupka dekoratorów. Od nich też dowiaduję się kilku szczegółów, m. in. o tym, że Solski ma około 80 lat, że na swój wiek jest bardzo wesoły i systematyczny, że jak trzeba na scenie ma szalenie dużo życia i werwy, że ...wprost jest wielki, niezastąpiony.

Aż oto właśnie wszedł za kulisy on sam — Solski. Jest to staruszek, niski, szczupły, twarz jego jest chuda i blada. Włosy siwe dodają mu powagi i powiem — majestatyczności nawet pewnej.

Udaje się do swej garderoby. „Idź pan teraz do dyrektora" — radzą mi moi rozmówcy. Wchodzę do pokoju tuż obok sceny i wyjaśniam mistrzowi po co przyszedłem. Uśmiecha się. Właśnie zdjął futro i zaczyna się przebierać. Mówię, że my, młodzi, chcielibyśmy nawiązać bliższy kontakt z teatrem i aktorami. Solski poleca mi **abym wyraził wszystkim mym Koleżankom i Kolegom jego głęboką sympatię i przyjaźń dla młodzieży.** Mówi, że gra na szkolnych przedstawieniach sprawia mu prawdziwą przyjemność. Satysfakcją jest dla niego, gdy widzi roześmiane twarze młodych ludzi.

Rozmowa schodzi na temat teatru. Dyrektor Solski podkreśla znaczenie teatru dla społeczeństwa, a zwłaszcza dla młodzieży. Teatr jest najlepszym nauczycielem języka polskiego, jest ostoją kultury narodów. Mówimy o zachowaniu się młodzieży w teatrze. Solski poucza nas, iż powinniśmy się zachowywać w teatrze z godnością, gdyż teatr kształci nas i buduje moralnie.

Dalej Mistrz informuje nas, iż dwa lata temu grał on już „Skąpca" w Łodzi ale sztuka ta nie została należycie wykorzystana. Poleca nam zwrócić się do dyrekcji teatrów z prośbą o zaliczenie „Skąpca" w poczet przedstawień abonamentowych. Wyraża swą zgodę na udział w tych przedstawieniach.

Szczerze wzruszony opuściłem teatr, pamięć rozmowy z Wielkim Aktorem pozostanie na długo.

Janusz Kulczycki (Łódź)
Gimn. im. Narutowicza



Solski jako Łatka
w „Dożywociu" Fredry



Solski jako Fryderyk II
w sztuce A. Nowaczyńskiego

NASZE STARSZE KOLEŻANKI

Akademiczki, mieszkanki Domu, przepływają przezeń jak wiecznie dążący gdzieś bieg wody w rzece. Najwięcej jest takich, które składają w Domu swe zmienne i nigdy nieświadome przyszłości życie, niby ciężki tobołek, na kilka krótkich miesięcy. Reszta zapełnia swymi rzeczami i sprawami pokoje przez cały rok. Mało jest stałych, wiernych Domowi mieszkanek.

A jednak mimo tej płynności żywych elementów życia toczącego się w Domu Akademickim — da się z niego wyłowić pewne reguły, pewne stale trwające cechy, zdarzenia, powtarzające się, znane i niejako już pozbawione indywidualnej osobowości typy ludzkie i z tego stworzyć sobie obraz przeciętnego życia studiujących dziewcząt.

Począwszy od września Dom powoli się zapełnia, do holku przybywają coraz to nowe walizy, oglądane z ciekawością przez zainstalowane już mieszkanki. Po wszystkich piętrach ruch, krzątanie, śpieszne kończenie letnich porządków, zajmowanie i urządzanie pokoi. Aż w październiku Dom pełen mieszkanek, jak opity miodem bąk, wchodzi w ustatkowany, normalny tryb życia i tylko z cicha brzęczy rozgwarem młodych głosów.

Rankami już od 7-mej dudnią drewniane schody od niezliczonych nóg w pantoflach, pędzących „do sklepiku".

— „Panno Zosiu, proszę pół szesnastki masła, ćwiartkę razowego i kwaterkę mleka na miarę!" „A dla mnie dwa płaskie, jajko i pół luksusowego!" — „10 dkg soli" — „pół kg. ziemniaków".

Na piętrach — pierwszym łącznikiem i rozsadnikiem wszelkich wiadomości o mieszkankach domu jest „numerowa", sprzątająca pokoje. Ją to ostrożnie się wypytuję, gdy ciekawość przypali, o tę lub ową sąsiadkę. Później — pierwsze rozmowy i znajomości w kuchence przy grzaniu wody, gotowaniu jajek.

— „Czy pani nie jada obiadów w kuchni?"

— „Nie... bo ja teraz jakoś nie mam apetytu, więc piję sobie herbatę w pokoju..." — Odpowiada się niepewnie, gdy zbliża się koniec miesiąca, myśląc z rozpaczą o suchej skórce chleba, która została z wczoraj, o odrobinie cukru grzechoczącej w puszce i o... 37-miu groszach, które muszą wystarczyć na parę jeszcze obiadów. Ale za to po pierwszym, gdy do pokoju wpadnie listonosz i postawi pieniądze, kto by się tam parał z kuchenką gazową i jajkami! Idzie się szumnie do „Bukieta", lub, co gorsza pod „Złotą Kaczkę", a później liczy się mozolnie:

— „te 3 zł wydane na obiad trzeba wliczyć do rybryki „rozrywki", bo na utrzymanie jest wyliczone wyraźnie 1.50 zł dziennie..."

Najmilsze jednak znajomości to te, które zawiera się najniespodziewaniej, np: prosi cię ktoś ze złamaną nogą, abyś przyniosła ze sklepiku mleko. — Gdy wracasz ze śmieszną, do niemowlęcej podobną flaszką, zawiązuje się rozmowa, nierzadko przyjaźń; zaczyna się wzajemne pożyczanie książek, termometrów, pomoc w razie choroby, rozmowy i dyskusje. Wychodzą wtedy z życia drugiego człowieka, ciekawe zdarzenia, sprawy raczej smutne, niż wesołe, najczęściej komiczne w swym tragizmie.

Zdarzają się wśród studentek cudotwórczynie, (i to nawet dosyć często), które żyją za 30 zł miesięcznie, i to ze wszystkim. Ich budżet przedstawia istne łamańce ekonomiczno - buchalteryjne, cała suma dochodowa idzie w pierwszych dniach, przez resztę dni w miesiącu żyje się z pożyczek, z których, na 1-wszego z owych 30 zł oddaje się najpilniejsze. I takie osoby żyją, studiują, a co najważniejsze: nie tracą fantazji.

Jesień... deszcz, pierwsze chłody; w hollu ogłoszenia: „kupię używane, nieprzemakalne trzewiki w dobrym stanie", ziębniętę, ciemne i mokre przedpołudnia na wykładach, w czytelniach i pracowniach, a po powrocie do Domu: zaciszny, jasny i ciepły pokój, lampka z zielonym abażurem, książki, książki...

I wtedy, gdy człowiek siedzi zaczytany, zajęty pracą, cichy pokój nasiąka ze wszystkich stron dalekimi szmerami, odgłosami toczącego się wokoło wszystkich ścian — życia. Życia młodego, równie pełnego i zmartwień i radości, jak własne. Wtedy zalewa i aż dech zapiera nagłe, radosne poczucie wspólnoty z tą młodą gromadą i poczucie siły, młodzieńczej siły, której działaniu nikt się nie oprze.

Wieczorami, gdy od pracy już rozboli głowa, albo w organizacji spotka niepowodzenie, albo szara codzienność i nuda życia zanadto wgryzą się w serce (bo i tak, niestety, bywa), chodzi się na „kominki".

Wsłuchać się wtedy można w codzienny rytm życia osób bliskich młodością i położeniem w jakim pozostają z własnej, czy wbrew własnej woli. Bo są takie, które pozostawiły gdzieś w innym mieście na prowincji, na kresach— spokojny zasobny dom rodzinny i wspierane przezeń — pędzą życie na studiach i rozrywkach. Ale więcej jest takich, które muszą częściowo lub całkowicie utrzymywać się z własnej pracy.

Słucha się niekończących się opowiadań o trudnościach dostania gdziekolwiek pracy, a w razie jej otrzymania o wyzysku młodych sił, o zmęczeniu, zmęczeniu, zmęczeniu... A młoda lekarka Domu o pełnych smutku oczach wysyła do Roentgena, na kliniki, do poradni przeciwgruźliczych, do domów wypoczynkowych coraz nowe... inne... koleżanki.

Wieczorami Dom zaczyna żyć własnym, .zorganizowanym życiem, otwierają się drzwi wypożyczalni książek i czytelni, miękkimi fotelami w których tonie się z rozkoszą, jako w jedynym miękkim meblu z tych dostępnych przez okres studiów. Do czytelni pędzi się na wyścigi, byle dostać Żeromskiego, Brzozowskiego, czy upragnioną „biblię": Pisma Piłsudskiego, — i z kilkoma tomami sadzi się na górę, po dwa, trzy schody, aby paść czemprędzej na łóżko i pochłaniać najczystsze prawdy życia do szarego świtu. O, niezapomniane chwile uniesień, w których do ostanich granic wyostrzony umysł chwyta w lot najzawilsze pojęcia i skojarzenia myślowe, a dusza rozrasta się, pęcznieje tak gwałtownie, że aż trzeszczy jej powłoka cielesna.

W zimie, po Świętach, w czasie których Dom znów pustoszeje, aby zato po brzegi wypełnić się nastrojem świątecznym, zapachem choinki, pierników, i rozgrzanych świeczek woskowych — zdarza się, że wracają ze śnieżnych hulanek kaleki, z poskręcanymi lub połamanymi nogami, przeklinając „deski", aby w przyszłym roku znów zacząć „szaleństwo".

Gdy zacznie się karnawał, późnymi wieczorami rozbrzmiewa orkiestra z „Sali balowej" domu. W korytarzach pełno szumu, długich, kolorowych sukien, zapachu perfum i świeżych kwiatów, błyszczących oczu i ożywionych głosów, co chwila też jakaś młoda dama znika w czeluści drzwi wejściowych, aby zgodnością zająć miejsce w aucie, które ją zawiezie na jakiś, wspanialszy od miejscowego — bal. A tutaj — w Domu, najweselej bawią się skromniutko ubrane kresowianki.

Z wiosną Dom cichnie i poważnieje. Na korytarzach spotyka się śpiesznie przemykające się, wybladłe i zgorączkowane lub zmęczone twarze, nieuczesane głowy, postaci w szlafroki odziane, niosące z kuchni buchającą parą czarną kawę.

Bo oto — nadeszła pora egzaminów. Wtedy, trzeba zamknąć się w pokoju, wygodnie usiąść, zapuścić story, aby nie wpadł do pokoju żaden promień „zatkać uszy i... kuć, bez pamięci kuć."

Wieczorami tylko, gdy zmęczenie nie daje skoncentrować się całkowicie na pracy, zapachy rozgrzanych ogrodów płynące w okna, mocno drażnią, pociąga wesoły gwar ludzi — wolnych ludzi na ulicy i śpiew dochodzący z daleka.

Przychodzi wreszcie dzień, gdy po nocy pełnej koszmarnych snów, idzie się na maślanych nogach na egzamin.

A gdy dobrze pójdzie — wraca się wolno, bez sił, ulicami, pełnymi ludzi, sklepów, pojazdów, w pełnym szalonej radości odurzeniu, wraca się do życia. Do życia, które niewiadomo jak dalej popłynie — w Domu Akademickim, czy gdzieindziej?...

Barbara Leszczyńska
(Kraków)

ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO

Gdy nastanie brzask, a jutrzenka ozłoci wyniosły tułów „Jurandowego" dworu, przy dźwięku zaś kurantów pół do dziewiątej wybije na pektoraliku rodowym, azaż to nie wstręt zwlekać się z leża swego i ziębiąc bose pięty, gwoli czystość skóry w zimnej, jako lód prawie lodowatej wodzie obmywać ciało swe?

Ażaliż to ucho wytrzymać może ów wstrętny głos z wyniosłości władzy płynący, a brzmiący ohydnie: — „Za 25 minutów śniadać będziecie"?

Przeto chcąc, a nie chcąc wdziewać musimy szemizy nieprzemakalne, pantalony, buty, a wszystko do normalnych niepodobne, i przeciwko woli swojej po gradusach zwlekać swe grzeszne ciała do przybytku Lukullusa. Widok aliści nieziemski, śniegu puch biały i słońca złote na nim odblaski, a głos iście niesamowity, z puszcz zielonych, iglastych, wiatrem ku nam niesiony, przez okna się do nas dostawa i na nowo miłość życia w nas wzbudza. Byle się dostać na ony góry, między sosny, a świerki białą otulone pierzyną, burką, rzekłbyś, sławetną Czarnieckiego, a nie żal o świtaniu wstać i temi marmolady się objadać w refektarzu onym.

A gdy dopełnił się czas, w którym przeznaczonym nam jest śniadać, na deski, tam i nazad powyginane, nakładać musimy one lepiące a cuchnące bestyjstwa, smarowidłami — według orzeczeń instruktorów naszych Imć Panów przy zjeździe z góry na zbity łeb pomagające.

W on czas wyprowadzają nas z izb onych, „Jurandowych" na ony przyjemnościa, promenadami zwane. Wychodzi wówczas homo sapiens z sieni mrocznych na świat Boży piękny, do nóg na tym perskim, czy innym turczyńskim dywanie śniegu krzywule przypasuje i w ordynku stawa. A on oto komendant nasz, niczem zagończyk jaki sławny, pohukując na nas, przez sobie jeno znajome dukty prowadzi. A gdy wyjdzie człek poczciwy w górę, het wysoko, zimno wtedy jak podjezdka zagonionego od siebie odrzuci i z jakowejś radości i amicycji serdecznej do wszelakiego żywego stwora, czy to szarak będzie, czy kozica, a nie raz i śniegu tego białego dziewiczego i do gór tych przez Jezu Krysta wzniesionych, rękami wymachuje i krzyczy radośnie — Świeć Panie Boże nad tym śniegiem!

Lecz-eś wlazł, panie bracie, we własnym się nurzając pocie na górę, to chcieś ślachcic herbowny, nie skartabella jakiś, to zjechać samojeden bez ciurów ci przyjdzie.

Ale gdy już zjeżdżasz... Ach, hulaj dusza bez kantusza, do diabła z kuligami przesławnymi, z ucztami u J. Ks. M. „Sierotki" Radziwiłła i Lubomirskiego „Kotusiek" i Potockiego „Rudego" i Czartoryskiego Adama wydawanymi! Jeno z katary proceder może tyle userdecznienia szczerego dać, jeno jaskółcza na wronej świerzepie gonitwa, lubo chwalebna za wrogiem pogonia.

A powietrze: ziu! przy uszach, a krzywule: tsy! przy nogach, a usta: hej ho! na wiatr. To ci jazda, panie bracie!

Lecz philosoplus, ten z greczyńskich przedsię najprzedniejszy, mądrą iście wydał maksymę, która tu zamieszczona być może: byś zjechał wleźć musisz; byś wlazł, zjechać ci przyjdzie. Tak ci to każda przyjemność koniec swój ma, a nierzadko i koniec przykry. Bo gdyś fatigatus i na twarz paręś razy upadł, to nie w głowie ci cudnych gór chwalenie, a gorycz jeno masz w słowach. No bo jakoż chłop czasem zębów nie ma przy zjazdach poniektórych postradać, a kości swych obrachować, a jako rachonki za krzywule, nartami zwane, uiścić? A jakoż z ludzkim czasem rozumem pogodzić się może, iże człeka bez ciurów - zdrajców ganiają, w dół i w górę na krzywulach pędzają, gdy tchu wszak nie starcza? A jakiemiż słowy przeklinać ma ów chłop nieszczęsny, własnych ofiara namiętności, one zapadliska — górzyska przebrzydłe, one Jaworzyny, one holwegi, głaza-





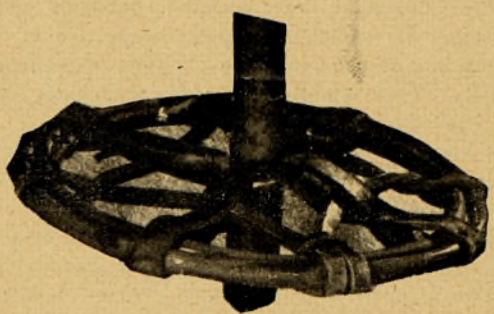


mi nabijane, one dziury wilcze, pod śniegiem utajone, one kiście, po twarzy bijące?

Zły i głodny, tudzież rozbity i połamany, ale z jakowąś szatańską, nie wiada skąd, radością duszy, wraca ten człek poczciwy do „Juranda" onego i zmieniając zmoczony odzienek o dniu jutrzejszym myśli.

A in illo tempore, gdy obiadać przyjdzie poruszają się żuchwy nasze wydając chrzęst niesamowity, a nie ma takiego, co by nie żarł, a przygód swych w głos towarzyszom nie rozpowiadał. A gdy się człek naje, napije, ledwo dolezie do barłogu swego, a dobrze jeszcze iże chłop tamże za stołem nie zdechnie.

A owo dowódcy nasi. Imć. Panowie komendantowie obozu onego, kłaść się nam iść rozkazowują. A na leżeniu onym wspomina się awantury przykre, a wypadki i upadki na cudnym białym śniegu



uskutecznione, a jakoż się z nich w on czas nie śmiać? A jakoż nie obiecywać nowych przygód na dzień następny?

I owo tak popołudnie i wieczór mija. A gdy sen nas ułapi, cóż to innego śnić się nam może, jak śnieg usłoneczniony, góry wysokie, lasy zielone szumiące i my, panowie bracia szlachta, my... na krzywulach onych?

R. POMIROWSKI
Lic. hum. Batorego

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego pismem z dn. 21 października 1938 r. Nr I Pr. 16859/38 dało zezwolenie na abonowanie dla bibliotek uczniowskich „MŁODEGO NURTU", dwutygodnika młodzieży szkolnej.



RECENZJE

Stanisław Wasylewski:

„NIEZAPISANY STAN SŁUŻBY"

Wyd.: J. Przeworski.

Choć książka ta nie jest bynajmniej nowością postanowiłem poświęcić jej kilka słów. Nie jest ona może tak bardzo wartościową by wyróżniać ją specjalnie spośród wielu innych, znacznie lepszych, ale zainteresował mnie tu głównie temat. Otóż Wasylewski daje nam obraz przedwojennego i „wojennego" Lwowa. Autor, będący podówczas redaktorem miejscowej „Gazety Wieczornej", a później osławionego „Szczutka", miał możność kontaktu z najwybitniejszymi ludźmi owego okresu. A więc spotykamy tu Kasprowicza, Zbierzchowskiego, Zapolską, Pawlikowskiego i wielu innych.

W specjalnie ciekawym oświetleniu ujawnił autor stosunek autora „Księgi ubogich" do sprawy niepodległościowej. Wiersze poety, a zwłaszcza cykl pt. „Pieśni Murzynów" były niezwykle ostrą satyrą na Austrię i Austriaków. Inne znowóż utwory płynęły z niczem niezmąconej radości, że oto nadchodzi oczekiwany dzień wyzwolenia, że wolność Polski jest nieustępliwą i bliską koniecznością.

Nadszedł czas, że Kasprowicz zupełnie przestał pisać. Miał ważniejsze zajęcia. Całymi dniami studiował prasę zagraniczną, która w owym czasie licznie napływała do Lwowa. Uważał, że dziś napisany wiersz za kilka dni wobec szalonego pędu wydarzeń już będzie nieaktualnym. Niestety jedyny jego wiersz umieszczony na łamach „Szczutka" w odrodzonej Polsce, pełen był gniewu. Tytuł jego i motyw stanowiły słowa: „Trudno się nie śmiać serdecznie, patrząc, co się w Polsce dzieje"...

W ogóle cały „Niezapisany stan służby" poświęcony jest braci artystycznej Lwowa. Znajdujemy tu świetnie skreślone sylwetki przodowników duchowych Małopolski, charakterystyczne ich cechy, a zwłaszcza delikatnie podkreślony stosunek do walki o Niepoległą Polskę.

To co napisałem we wstępie nie znaczy bynajmniej, że książka Wasylewskiego pozbawiona jest wartości literackich. Owszem są one i to nawet duże, a przejawiające się przede wszystkim w lekkim, felietonowym niemal ujęciu całości i prostym, a wdzięcznym stylu.

„Niezapisany stan służby" bezwarunkowo wart jest przeczytania.

Jerzy Dubrowski
II. L. P. Gimn. Batorego

Podajemy do wiadomości Koleżanek i Kolegów, że po obecnym podwójnym numerze „MŁODEGO NURTU" — następny wyjdzie w dniu 15 stycznia 1939 roku.

Prosimy o wrażenia z tego czasu próżniactwa. Nie zapominajcie również o zdobywaniu nowych czytelników i korespondentów.

A więc do zobaczenia w roku 1939.

REDAKCJA



FILMY

LORD JEFF

Reż.: Sam Wood,
prod.: Metro Goldwyn Mayer,
w roli głównej: Freddie Bartholomew i Mickey Rooney.
Film: dozwolony dla młodzieży od lat 8.

Temat stary jak świat, lecz zawsze świeży. Czyż zagadnienie przemian w duszy dziecka nie jest tym najwdzięczniejszym zarówno dla realizatorów jak i widza.

Mały Jeff dostał się w ręce szajki złodziejskiej, która wykorzystuje go dla swych niecnych planów. Wprost kapitalne jest wprowadzenie w tę nieoczekiwaną intrygę, która kończy się wykryciem całej bandy

Trzynastoletni „Lord" przekształca się ze złodziejaszka, wbrew swej woli w adepta szkoły morskiej i..., ale reszty dowiecie się sami, gdy będziecie przeżywać wraz z świeżo przyjętym kadetem jego nowe życie w murach uczelni.

Ciekawie ujęty jest w filmie dobroczynny wpływ wysiłku sportowego, który jest głównym powodem przemiany duchowej bohatera. Jeff poznaje szlachetną rywalizację sportową, otrzymuje zaszczytną godność kapitana drużyny wioślarskiej, uczy się oceniać wspólny wysiłek.

Możemy sobie różnie przedstawiać dalsze koleje losu Jeffa, pewnym jest że przeżycia młodzieńcze w „domu dżentelmenów" zostawiły na jego duszy niezatarte piętno. Mały przestępca, jakim znamy Jeffa na początku filmu stanie się kiedyś filarem marynarki handlowej Jego Królewskiej Mości.

W ZAMIAN KORESPONDENCJI Z TERENÓW GIMNAZJALNYCH

Poniżej zamieszczamy in extenso list koleżanki z Litwy.

Poniewież, 5.XII. 1938 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem uczenicą polskiego Gimnazjum w Poniewieżu. Przed paru dniami dostałam do przeczytania „Młody Nurt". Przyznam się, że wielkie wrażenie zrobiło na mnie to pisemko. Wszystkie artykuły zamieszczone w nim są jakby cząstką mnie samej. Tak samo czuję i myślę. Zasadnicza różnica jednak jest w tym, że nie umiem ująć tego w piękne zdania. Z bijącym sercem czytałam każdy artykuł i na prawdę byłam zawstydzona moją nieudolnością. To też chciałabym jak najprędzej zaprenumerować „Młody Nurt". Tylko jestem w wielkim kłopocie, gdyż nie wiem ile kosztuje prenumerata zagranicą. Może Pan będzie tak dobry i przyśle mi odpowiednie informacje w tej sprawie. Ja zaś ze swej strony postaram się swój zapał przelać na koleżanki i kolegów, by oni zwiększyli liczbę czytelników i prenumeratorów „Młodego Nurtu". Postaramy się w miarę sił i możności współpracować.

Jesteśmy wzruszeni i bardzo wdzięczni za pamięć o nas. Jakoś teraz lżej na duszy, gdy wiemy, że i o nas myślicie, bo moralna pomoc jest nam potrzebna. Kończąc zasyłam staropolskie „Szczęść Wam Boże". Obiecuję wkrótce napisać coś więcej o naszym życiu szkolnym.

Janina Łossowska

Przyp. Red. Cieszy nas, że pismem naszym wzbudziliśmy w Koleżance tak głębokie uczucia i szczere przeżycie.

Zdaje się, że będziemy wyrazem wszystkich naszych Koleżanek i Kolegów w kraju, jeżeli zapewnimy Was, naszych młodych braci-rodaków za granicami będących, o szczerej i niekłamanej przyjaźni o myślach, które dobre i jasne.

Wierzymy, że „Młody Nurt" będzie łącznikiem i że pozwoli na bliższe porozumienie się.

ZAPOMNIANA MELODIA

Reż. Tom i Fethke,
Wytw.: Omniafilm,
w rolach gł.: H. Grossówna, J. Andrzejewska, M. Znicz i A. Żabczyński.

Chwała Bogu, że wreszcie polska produkcja skończyła z dramatami w rodzaju „Tajemnicy Przystanku Tramwajowego" czy innej „Gehenny". Nasza rodzima komedia zaczyna nabierać rozmachu, tempa. Już film „Paweł i Gaweł" rozpoczął serię „złotej produkcji" komediowej, lecz „Zapomniana Melodia" jest jeszcze lepsza, jeszcze staranniej wykończona i posiada tę wyższość nad innymi, że odznacza się doskonałymi plenerami, (sceny na kajakach).

Na tle życia pensjonatu żeńskiego przewija się dyskretna intryga miłosna, piosenki melodyjne o wyjątkowo udanych tekstach (ładna przeróbka starej kantaty „Panie Janie"), doskonałe typy pedagogów, a specjalnie profesora śpiewu (Znicz!).

Helena Grossówna w roli rozśpiewanej pensjonarki jest doprawdy czarująca. Jest to chyba najlepsza nasza artystka komediowa do ról „dziewcząteк".

Jadzia Andrzejewska jako „świętoszek" a równocześnie „zły duch" pensjonatu była bliska sercu każdego widza, który z łezką rozrzewnienia wspominał swe szkolne perypetie.

Jeśli nie wierzycie, że może być czarującą polska komedia, śpieszcie obejrzeć „Zapomnianą melodię".

Zdjęcie obok: Fertner jako „król mydła" i ojciec Grossówny w otoczeniu pensjonarek.
Poniżej: „Lord Jeff" — Freddie Bartholomew (na lewo) i Mickey Ronney.





Czytajcie!

Książki o treści popularno - naukowej.

E. Hawks „Dziwy powietrza i wody". Przekład dr. Feliksa Rutkowskiego, str. 254, wyd. Trzaska, Evert i Michalski.

Jan Czekanowski „Człowiek w czasie i przestrzeni", str. 280, wyd. Trzaska, Evert i Michalski.

Beletrystyka.

Kryszand Jerzy „Akademia urwipołcia", str. 288,, Kraków Księgarnia „Nauka i Sztuka"".

Gojawiczyńska Pola „Słupy ogniste" II tomy stron 470, Warszawa, wyd. J. Mortkowicza.

Gry Owl. „Pielgrzymi Puszczy" przekład Al. Dobrota, wyd. J. Przeworskiego, W-wa 1937.

Ossendowski Ferdynad „Słoń Birara". Poznań, 1938, Wyd. Polskie Vegnera.

Jerzy Bieniasz „Leśne wygi". Lwów, Księgarnia Al. Krawczyńskiego.

WYNIKI

WIELKIEGO KONKURSU WAKACYJNEGO

ogłosimy w następnym numerze

15 STYCZNIA 1939 ROKU.



St. Olszew. Wiersze jeszcze słabe. Radzimy dużo pracować.

Kol. J. R. Konstancin. Cieszy nas uznanie Koleżanki dla pisma. Uwagi o artykułach z poza życia szkolnego są słuszne i postaramy się do nich w miarę możności zastosować ale... czekamy na pomoc koleżanek i kolegów. Przesyłamy pozdrowienie.

Kol. R. N. Katowice. Część materiału wykorzystamy. Przesyłamy pozdrowienie.

Kol. J. N. Łódź. Cieszy nas popularność pisma na terenie gimnazjum. Część przysłanego materiału wykorzystamy. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. P. R. Radomsko. Wiersze zatrzymujemy, jednak bez pewności drukowania.

Ryszard Bolski. W-wa. Nie możemy drukować noweli, której kolega nam nie przysłał do wglądu. Prosimy o podanie danych, czy kolega uczęszcza do gimnazjum lub liceum i do której klasy.

Kol. R. S. Warszawa. Trudno nam jest definitywnie odpowiedzieć, czy koleżanka ma talent, po kilku nadesłanych wierszach. Tematy wierszy b. miłe, ale forma jeszcze słaba. Na razie nie możemy drukować, przesyłamy pozdrowienia.

Kol. J. S. Rakowice. Za życzenia rozwoju pisma dziękujemy. Nadesłanego wiersza drukować nie będziemy; myśl jest dobra, forma jednak słaba. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. G. C. Miechów. Materiał przyszedł zbyt późno, aby można było go umieścić w numerze gwiazdkowym, Ocenę wartości podamy później. Ślemy pozdrowienia.

KONIKÓWKA MAGICZNA

Wł. S. Sokalski — ZDŁB....

Ruchem konika szachowego (poczynając od kratki oznaczonej) odczytać rozwiązanie; następnie wstawiając na pierwszy ruch: cyfrę 1, na drugi: 2 itd otrzymać kwadrat magiczny, o jednakowej sumie w rzędach poziomych i pionowych (260).



T	A	I	O	J	I	W	A
N	A	E	Ć	I	I	Ż	E
Ł	A	D	E	Ż	E	T	Z
Ł	R	A	N	A	E	M	I
W	M	P	J	T	A	M	L
O	E	O	Z	I	A	A	N
Y	T	N	Ł	Ę	P	E	I
I	D	T	O	C	N	D	K

„A. S."

Za dobre rozwiązanie, nadesłane do Redakcji do dnia 4.I. 1935 r., wylosowany(a) otrzyma książkę.



Zakopane — rozkopane... było do niedawna. Obecnie asfalty co ważniejsze arterie, a jasne fasady świeżo wykończonych budynków nadają miastu odświętny charakter.

Ale nowości te nie kończą się na inwestycjach miejskich.

Na stokach Gubałówki pięć migotliwych światełek znaczy wieczorną porą trasę parę dni temu wykończonej kolejki linowej. Nowe schronisko na Kalatówkach oczekuje na przyjęcie gości w swe obszerne pomieszczenia zarówno hotelowe jak i turystyczne. Dwie trasy biegu zjazdowego FIS z Kasprowego z dwoma wariantami są już wyznaczone, jak również slalom w Suchym Zlebie.



Taki zjazd — to przyjemność

Wyciąg z kotła Kasprowego pod stację kolejki linowej jest na „warsztacie", a dwa zgrabne lilipucie domki z popielatych kostek znaczą początek i koniec trasy. Cała sieć nowych, pięknie i celowo wytyczonych nartostrad pokrywa tatrzańskie zbocza; najdłuższe z nich biegną od Kasprowego przez Goryczkową na Kalatówki i do Kuźnic, oraz przez Gąsienicową, Olczyską do Jaszczurówki. Skocznia pod Krokwią została poddana kuracji „odmładzającej" w myśl wymagań technicznej komisji FIS-u, a u jej stóp rozciąga się półkolem stadion zimowy, którego położenia mogą nam pozazdrościć największe stacje klimatyczne szwajcarskie.

Czy to w dzień słoneczny czy też deszczowy można spotkać sporą gromadkę zawodników, z kijkami narciarskimi w dłoni, którzy przebiegają graniami, zjeżdżają na butach po skąpych płatach śnieżnych, lub też wyciągniętym kłusem przemierzają tatrzańskie doliny. Przewodzi im Bronek Czech, który jest nie tylko trenerem naszych „fisowców" ale członkiem nieomal wszystkich komisyj technicznych i specem od wyznaczania trasy biegów i slalomu, nartostrad, ceprostrat, nieomal dorożkostrad...

Widać, że Zakopane przygotowuje się bardzo starannie na przyjęcie polskich i zagranicznych gości. Komitet zawodów FIS, mieszczący się w Krakowie przy P. Zw. Narciarkim, oraz niezliczona ilość komisyj — do najdrobniejszych szczegółów opracowali program tej największej w dziejach polskiego sportu — imprezy zimowej.

Od dziś za dwa miesiące będziemy świadkami zmagań największych potęg świata narciarskiego na przepięknych terenach naszych Tatr.

A więc do zabaczenia na FIS-ie!

CHORZÓW GÓRĄ!

Nie tak dawno nasi Koledzy spod śląskieskiego znaku sportowego odnieśli ładny sukces w wielkim biegu sztafetowym, zorganizowanym przez Polskie Radio-Katowice. Chodzi tu o uczniów Międzyszkolnego Klubu Sportowego— Chorzów, którzy startując w silnej konkurencji najlepszych zawodników śląskich zajęli zaszczytne trzecie miejsce, otrzymując jako nagrodę piękny radioodbiornik. Brawo Chorzów!

MISTRZOSTWA GIMNAZJALNE.

Przy końcu listopada zostały rozegrane doroczne gimnastyczne mistrzostwa Polski. W ogólnej punktacji pierwsze miejsce wśród pań zajęła Skirlińska (Kraków) 89,767 przed Stępińską (Kraków) 86,834 pkt., zdobywają tym samym mistrzostwo Polski: wśród panów po zaciętej walce, tytuł mistrza przypadł minimalną różnicą punktów Kosmanowi 111,033 przed Pietrzykowskim 111,032 obaj z Warszawy. Wysoki poziom demonstrowanych ćwiczeń rokuje na przyszłość ładne wyniki polskich gimnastyków na arenie międzynarodowej.

O PUCHAR POLSKI.

We Lwowie odbyło się decydujące spotkanie piłkarskie o Puchar Polski im. Pana Prezydenta pomiędzy reprezentacją Krakowa i Lwowa. Mecz zakończył się zwycięstwem gospodarzy w stosunku 5 : 0.

ABY TAK ZAWSZE.

Zwyciężyliśmy Szwajcarów 14 : 2, ale wyniku tego za wielki sukces uważać nie możemy. Swajcarzy nie wyszli poza ramy przeciętności. Wszyscy byli szalenie twardzi i odporni na ciosy, Walczyli w szczelnej gardzie i dysponowali niezłą techniką.

Jedynym Polakiem, który przegrał był Klimecki, w wadze półciężkiej.

PIŁKARSKA SENSACJA.

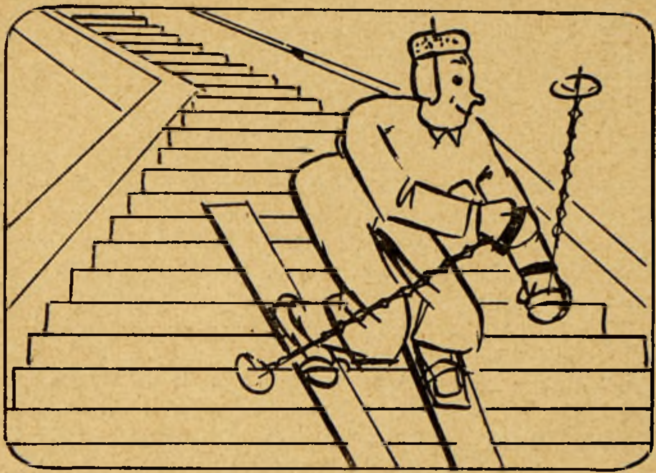
Po długich pertraktacjach prowadzonych przez polski i francuski Związek Piłki Nożnej ustalono termin spotkania międzypaństwowego Polska — Francja w Paryżu w dniu 22 stycznia 1939 r.



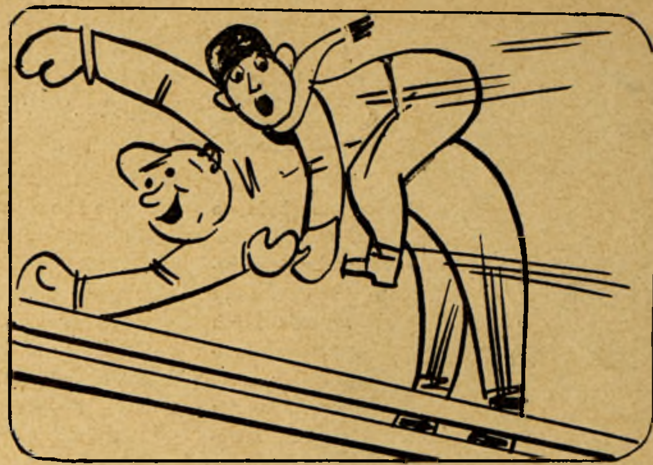
Br. Czech prowadzi suchą zaprawę



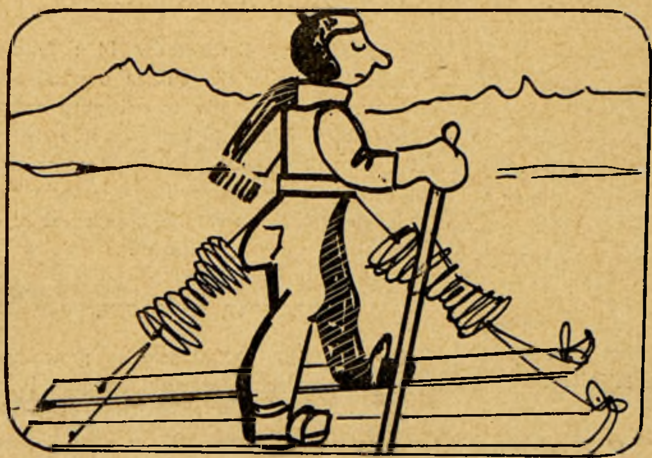
HUMORESKI



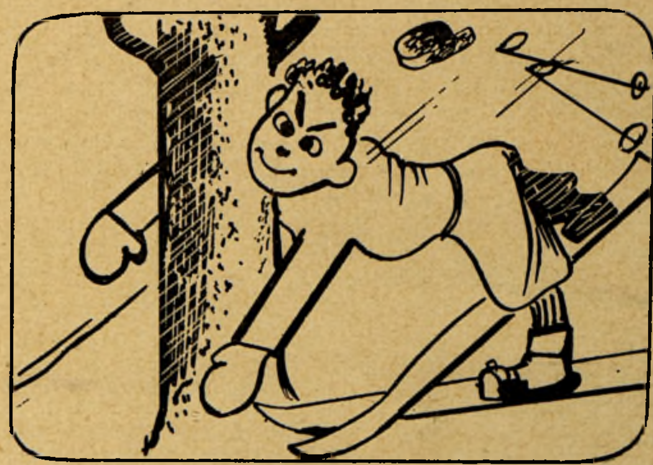
Sucha zaprawa



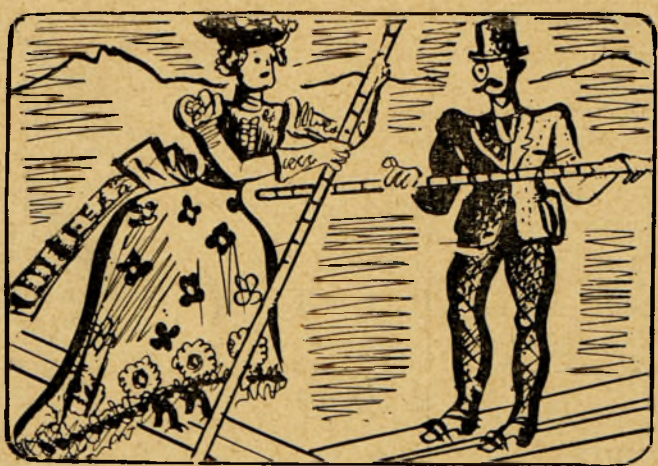
Pasażer „na gapę"



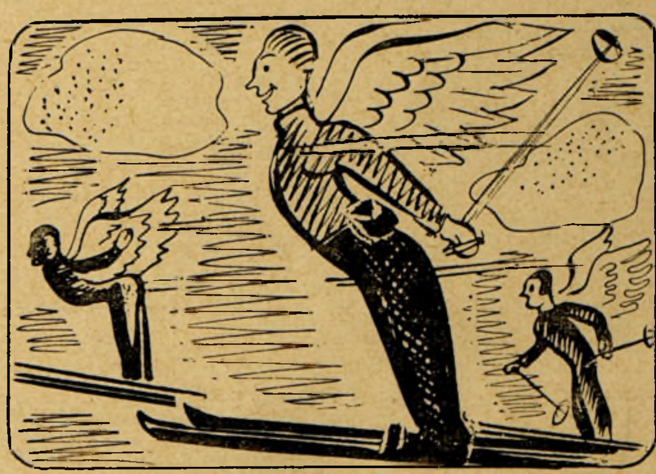
„Ceper"



Zbawczy uścisk



Rok 1902...



...W najbliższej przyszłości...

REDAKTOR: Bolesław T. Łaszewski. WYDAWCA: „Instytut Wydawnictw Współczesnych".
Strona graficzna: Leonard Rutkowski.

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Łazienkowska 3. Codziennie od 10—14, ponadto we wtorki i piątki od 16.30—18.30.
Tel. Redakcji 8-50-08. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.